



lesiojot



MARIA ZIENTAROWA

WOJNA DOMOWA

CZYTELNIK

MARIA ZIENTAROWA

WOJNA DOMOWA



CZYTELNIK • 1964

BYWAJĄ CHWILE

— Czy jazz może szkodzić? — spytała ni stąd, ni zowąd matka Pawła.

— Na co? — spytałam z kolei.

— Bo ja wiem na co. Na system nerwowy, na inteligencję, na zdrowie.

— Dlaczego?

— No, bo Paweł gra płyty jazzowe godzinami i jest jakiś dziwny.

— A zanim grał?

— Zawsze był dziwny.

— Co robi?

— Właściwie nic specjalnego. Ale dziwny jest. Zapadła długa cisza. Siedziałyśmy przy niskim stoliku, składającym się z dwóch szklanych blatów, szczyt nowoczesności, i piłyśmy herbatę.

Między blatami szklanymi leżały jakieś pisma. Matka Pawła sięgnęła po nie i uderzyła się dotkliwie w rękę.

— A niech to. Kupiłam ten stolik, żeby zrobić Pawłowi przyjemność, bo nowoczesny. I ciągle walę się w rękę.

— Starzejemy się — stwierdziłam i szybko sięgnęłam po lusterko kieszonkowe.

— On mówi, że ja jestem przeżytkiem dziewiętnastego wieku, a może nawet osiemnastego — stwierdziła matka Pawła.

Wstała ostrożnie, żeby nie skaleczyć się o szklany kant stołu, i ciężkim krokiem podszła do adaptera.

— Nastawię pani jakiś jazz, póki go nie ma w domu. Zobaczymy, jak to działa. Festiwal sopocki — dodała fachowo — ale ten lepszy, ten z 56 roku.

— A dużo ich było?

Spojrzała na mnie z wyższością.

— Nie wie pani? Dziwię się.- Dwa. A może trzy.

— I co?

— Potem zakazano ich, bo młodzież demolowała miasta.

- Dlaczego?
- Nie mam pojęcia. Paweł mówi, że to nie jazzmani, tylko zwykli chuligani, a władze nie potrafią rozróżnić.
- No to słuchajmy ostrożnie.
- W razie gdyby pani chciała zdemolować ten stolik, to proszę bardzo — westchnęła matka Pawła.
- Melodia była niezła, nawet można by ją od biedy gwizdać. W porównaniu z „Jesienią Warszawską”
- dziecinna zabawka.
- Milczałyśmy.
- Czy można przy tym mówić, czy nie wypada?
- spytałam.
- Nie ma Pawła w domu, to możemy sobie rozmawiać. Gdyby przyszedł, to lepiej słuchajmy w milczeniu, dobrze?
- Płyta skończyła się dużym hałasem. Bardzo przyjemna.
- Nie czuję nic szkodliwego — stwierdziłam.
- Ale godzinami to by pani tego nie słuchała, prawda?
- upewniała się matka Pawła.
- Oj nie.
- Tak sobie pomyślałam — matka Pawła wyraźnie posmętniała.
- A bo co?
- No nic. W niedzielę byłam w Filharmonii na koncercie jazzowym. Myślałam, że może będziemy chodzić razem.
- Przecież chyba chodzi pani z Pawłem?
- Nic podobnego, kupuję dwa bilety na dwóch krańcach sali. Chodzimy zupełnie osobno i na przerwach udajemy, że się nie znamy.
- Coś takiego! Pani się wstydzi Pawła?
- Ależ skąd. To on postawił te warunki. W niedzielę myślałam już, że jestem najstarszą osobą na sali. Ale przed samym początkiem koncertu przykuśtykał jeden staruszek o kulach, z długą brodą. O mały włos go nie ucałowałam z radości.
- A więc Paweł wstydzi się pani! — ucieszyłam się.
- Trudno, muszę chodzić, bo inaczej nasze drogi zupełnie się rozejdą. W zeszłym roku chodziliśmy jeszcze-razem na poranki filmowe i na „Piotrusia Pana”. To też nie było takie interesujące, ale jakieś normalniejsze.

Zamyśliłam się. Może miała rację.

— Patrę często na afisze — powiedziała smętnie

— grają takie różne dobre sztuki. „O sierotce Marysi”, na przykład. Albo „Koszalki opałki”-. I pomyśleć, że ja już tego nigdy nie zobaczę. Wyrósł mi z tego, rozumie pani. Teraz mamy jazz.

— Też wyrośnięcie — pocieszyłam ją.

— Chwilowo wrastamy.

Rozległ się gwałtowny dzwonek u drzwi, połączony z pukaniem.

— To on — zerwała się matka Pawła. — Otworzę, a pani tymczasem szybko schowa płytę do koperty, zamknie adapter! odłóż płytę na półkę. On okropnie nią lubi, jak grać jego płyty.

Pobiegła, a ja gorączkowo zrobiłam, co mi kazała.

Weszli oboje. Matka Pawła pchnęła go lekko w moją stronę. Podał mi zupełnie bezwładną dłoń. Podobno taka u nich moda. Spojrzałam na niego.

— Bileś się z chłopakami?

— Skąd — prychnął. — Golilem się.

— Żyletką ojca! — przestraszyła się matka Pawła. :— Co to będzie, jak on wróci z terenu.

— Odkupię mu — mruknął Paweł i wywlókł się z pokoju.

— Umyj ręce — krzyknęła za nim.

Z drugiego pokoju rozległy się po chwili dźwięki jakiejś muzyki rozrywkowej.

— Teraz muszę iść zabronić mu odrabiać lekcje przy radiu — matka Pawła ciężko podniosła się z fotela i uderzyła się w kant stolika.

Wyszła. Nie było jej chwilę. Z powrotem weszła na palcach. Na twarzy miała błogi uśmiech.

— Co jest? — zainteresowałam się ogromnie.

— Niech pani sobie wyobrazi, co się dzieje. On leży na łóżku i CZYTA! Prawdziwą książkę. Zdaje się, że to „W pustyni i w puszczy”, ale nie jestem pewna. Muszę wysłać depeszę do jego ojca w teren. Coś podobnego!

Wyniosłam się bez ceremonii. Bywają chwile w życiu rodzinnym, kiedy człowiek obcy jest tylko zawadą.

NYLON I METAL

Pawła spotkałam w bramie. Nie widziałam go od dziesięciu dni i wydawał mi się o jakie pół metra wyższy. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę z napisem „Texas Rangers” na plecach, włosy zarastały mu na kark i szurał nogami.

- Dzień dobry — powiedziałam z wrodzoną uprzejmością.
- Bry — odpowiedział równie uprzejmie i szurnał lewą nogą.
- Dokąd idziesz?
- Doklegi.
- Bez gitary? — próbowałam nawiązać kontakt.
- Skonfiskowana — oświadczył ponuro.
- Przez kogo?

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

Szliśmy razem w kierunku MDM-u. Paweł teraz nie tylko szurał nogami, ale jeszcze kołysał się do tego jak marynarz, przerzucając ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Też spróbowałam, ale dałam pokój.

— Co będziecie robić? — spytałam, kiedy cisza stała się zbyt męcząca.

- Pracdomową.
- Razem?
- Bo ojciec nie pozwala mi na swojej maszynie.
- Na jakiej znowu maszynie?
- Dopsania.
- To teraz odrabia się lekcje na maszynie? — zdziwiłam się.
- Politechnizacja — warknął.
- A ojciec kolegi pozwala na swojej?
- On nie ma ojca — powiedział Paweł krótko.
- A gitarę ma?
- Dwie, na nylon i na metal.
- Przepraszam?
- Proszę — odpowiedział i nawet jakby się lekko uklonił od

pasa.

Znowu było cicho. Przeszło dwóch młodzieńców z gitarami na plecach. Jeden miał na sobie takie wąskie spodnie, że nie mógł prawie zginać nóg w kolanach.

— Cześć — rzucił im Paweł.

— Cześć, cześć — odpowiedzieli.

— Znajomi? — zapytałam szalenie inteligentnie.

— Nie — odpowiedział Paweł krótko.

— Aha — zgodziłam się. — Mama zdrowa? — zapytałam, było nie było.

— Wa — powiedział tylko.

— Jak ci idzie w szkole? — brnęłam coraz głębiej.

— Taaaaaksbie. Na przyszły rok będziemy rozbierać samochód — rozgadał się nagle, wymawiając każdą sylabę.

— Politechnizacja — zgadłam uradowana.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

Minęliśmy przystanek tramwajowy, do którego w gruncie rzeczy zmierzałam, ale poszłam dalej z Pawłem. Pomyślałam sobie, że jak już się nawiązało kontakt z dzisiejszą młodzieżą, to należy go podtrzymywać.

— A jak już skończycie odrabiać lekcje na maszynie

— zaryzykowałam — to o czym z tym kolegą będziecie rozmawiać. Co was absorbuje?

— Jan Ptaszyn Wróblewski — powiedział Paweł bez chwili zastanowienia.

A co on napisał? — zapytałam, aż mrugając oczami z zainteresowania.

— Jeszcze nic — Paweł spojrzał na mnie z dużym zdziwieniem i po raz pierwszy.

— Sport? — próbowałam.

— E, e.

— Przyznaję się, że nie wiem, kto to taki, ostatnio jakoś mało ludzi widuję.

— Saks-tenor — powiedział Paweł cierpliwie i tajemniczo.

— Rozumiem.

— W odróżnieniu od Matuszkiewicza. Saks-alt. A nawet czasem saks-sopran — dodał w zamyśleniu.

Kontakt był nawiązany. Paweł szurał coraz szybciej.

Musiałam robić dwa kroki na jego jeden.

— Mam jedną płytę Armstronga — pochwaliłam się.

— Zachrypnięty staruszek — zawyrokował Paweł.

— Teloniusa Mońka pani ma?

— Nie, ale mam ciotkę w Ameryce — powiedziałam szybko.

— Ha — rzucił Paweł i aż się zatrzymał na środku zebry. Zaczęto na nas trąbić dość gwałtownie i tajemniczy głos z wielkiego głośnika ryknął: „Pani w zielonej czapce i uczeń w czarnej kurtce, proszę w tej chwili zejść z jezdni. Zatrzymujecie cały ruch”.

Zeszliśmy szybko, ale zatrzymaliśmy się na chodniku, przed samym Pałacem Kultury.

— Czy ona by, czy ta, ta, ta, ta ciotka? — zaczął się jąkać Paweł.

— Naturalnie — powiedziałam szybko. — Z największą przyjemnością.

— Proszpani — dyszał — ja jej też coś pošlę. Będzie wymiana kulturalna. Mam jednego Namysłowskiego, co gra na wszystkim, takiego nawet pewnie u nich nie ma. Fortepian, trąbka, puzon, gitara...

— Jednocześnie? — spytałam.

Opadł z tego entuzjazmu.

— Jeszcze nie — powiedział cicho.

— Ale to nic — pocieszyłam go — Przyjdź do mnie po kolacji. Uzgodnimy co i jak, i ja napiszę do ciotki. Najlepiej zrób mi listę płyt do wyboru, dobrze?

Po raz pierwszy rozjaśniła mu się twarz i zaraz zaczął wyglądać na swoje szesnaście lat. Zapomniał o szuraniu, wyprostował się, złapał mnie za rękę i zawołał: — No to ja lecę odrobić lekcje i będę zaraz po ósmej — prysnął.

Wyszedł z mojego mieszkania o jakiejś dziesiątej, wzbogaciwszy naszą wiedzę o jazzie polskim i zagranicznym o sto procent. Byliśmy wyczerpani, ale pełni różnych satysfakcji. Kiedy siadłam, żeby napisać list do ciotki w Chicago, z którą nie koresponduję od 1946 roku, kiedy przysłała mi dwadzieścia puszek fasoli w sosie pomidorowym, zadzwonił telefon.

Była to matka Pawła.

— Chciałam podziękować w imieniu Pawła — powiedziała

głosem pełnym wzruszenia, — Nie wiem, co pani zrobiła, ale chłopak jest dzisiaj jakby odmieniony i nawet poszedł się wykąpać bez zmrużenia powiek.

— Jak się nie ma własnych dzieci — powiedziałam

— to ma się swoje metody pedagogiczne. Naprawdę nie ma o czym mówić.

ZMOWA

Matka Pawła przyszła wieczorem na herbatę i gadanie. Jej mąż jak zwykle w terenie, mój zamknięty w kuchni pisze plan pracy na przyszły rok.

Siedzimy. Mówię o teatrze. Nie chwyta. Zgadza się szalenie szybko, że to dobre, a tamto nie i że do kina nie można chodzić, bo za dużo strzelają.

Potem zalega cisza i już wiem, że zaraz będzie o Pawle. Ale jeszcze nie.

— Oni coś knują — powiedziała nagle matka Pawła.

— I to może być niebezpieczne — dodaję inteligentnie.

— Skąd pani wie? — denerwuje się matka Pawła.

— Wszyscy to wiedzą. Słyszałam w tramwaju...

— Ładna historia! — matka Pawła aż zerwała się z fotela. — Ja już nie mam sił. Muszę zatelefonować do męża w Szczecinie. Niech wraca.

— No, nie przesadzajmy. Co prawda dopóki Adenauer jest kanclerzem...

— A co ma do tego Adenauer? — matka Pawła spojrzała na mnie podejrzliwie. — Nie można wszystkiego zwać na Niemców.

— Mogę zawołać mojego męża, on pani to wszystko wytłumaczy. Dopiero wczoraj mówił, że mu się ta cała historia nie podoba.

— Czy widział ich w bramie? — zainteresowała się matka Pawła.

— W jakiej bramie?

— Jak to, w jakiej? Na dole. Wystają całymi godzinami, I coś knują. Tylko co?

— Adenauer?...

— Paweł z tym Genkiem z trzeciego piętra i czasem jest z nimi taki chudy, wysoki, ha którego potem za plecami mówią „platfus”.

Odetchnęłam z ulgą, bo o polityce międzynarodowej bardzo nie lubię mówić tak wieczorem przy herbacie.

— Spróbuję się czegoś dowiedzieć — przyrzekłam.

— Pani wie, że Paweł ze mną chętnie rozmawia.

— Wiem i zastanawiam się dlaczego — powiedziała matka Pawła. — Ale, moja kochana, niech pani to dla mnie zrobi, dobrze?

Nazajutrz w południe zauważyłam ich. Było ich rzeczywiście trzech. Ten trzeci, nieznajomy, wyraźnie nie z naszej kamienicy, miał naprawdę dwa poważne platfusy i powinien stanowczo nosić wkładki do butów. Wszyscy mieli na nogach trampki, mimo że lało jak z cebra.

Stali, w rękach trzymali brezentowe, wypchane czymś ciężkim worki sportowe, a ten platfus miał torbę lotniczą z napisem AIR FRANCE.

— Pan z Paryża przyleciał? — zagałam wesoło.

— Ależ skąd! — przestraszył się i prysnął, włączając oboma trampkami w kałużę, która nawet w suche dni stoi przed naszą bramą.

— Dobry — powiedział Paweł basem, którego jeszcze kilka dni temu nie miał.

— Dzień dobry — odpowiedziałam dydaktycznie i ze świetną dykcją. — Co macie w tych workach, panowie?

— Książki — powiedział Paweł sucho.

— Sprzedać je idziecie? — zgałam szybko.

— Szkolne — oświecił mnie Genek z trzeciego piętra.

— A gdzie macie teczki?

— Teczek się nie nosi — powiedział Paweł zupełnie wyraźnie.

— Już od zeszłego roku.

— Nie zauważyłam — zauważyłam i zaraz dodałam:

— Bardzo słusznie, doskonały pomysł. Lżej i taniej.

Mruknęli coś i zaczęli odszurowywać w tył. Widocznie nie dlatego nie nosi się teczek od zeszłego roku.

— Mam piękną torbę, z napisem SAS — olśniło mnie nagle. — Gdybyś, Pawle, chciał przyjść po południu do mnie, to ci ją dam. Jeżeli ci się *oczywiście nada*.

Nie byłam pewna, czy usłyszał, bo szalenie szybko szmyrgnęli

w głąb podwórza.

Ale usłyszał, bo tak około czwartej zadzwonił gwałtownie do drzwi. Myślałam, że depeza, i szalenie się zdenerwowałam.

— Ach to ty! — ucieszyłam się. — Wejdz.

Stał w progu i trochę kąpał. Miałam wrażenie, że jeszcze nie był w swoim mieszkaniu. Worek z książkami trzymał. Też mokry.

Wszedł. Trampki skrzypiały i cichutko bulgotały przy każdym kroku. Posadziłam go na fotelu męża i poszłam, żeby wyciągnąć torbę SAS-u z pawlacza. Gdy wróciłam do pokoju, Paweł siedział na ziemi i przeglądał nasze płyty. Zerwał się trochę speszony.

— Bardzo ostrożnie je wyjmowałem — powiedział.

— Ja szanuję płyty; chociaż to przeżytek.

— Przeżytek? — zdziwiłam się.

— No tak, teraz taśma — powiedział krótko. — Ale i tak nic nie macie,. Same Szopeny, jak wszędzie.

Na widok torby, oczy mu zabłysły, ale nic po sobie nie dał poznać, bo widocznie w tym roku nic się po sobie nie daje poznać.

Przekładał ze swojej torby jakieś wystrzępione podręczniki z olbrzymią kolekcją oślich uszu, kartki, zeszyty, kawałki ołówka, trzy złamane ekierki, dwa cyrkle w proszku, podarte kapcie. Na dywaniku zostało mnóstwo okruszyn, kilka kawałków przetłuszczonego papieru śniadaniowego i jedna kanapka z topionym serem.

— Turystyczny z szynką — powiedział Paweł i wepchnął kanapkę do kieszeni farmerek. — Wszystko się mieści. Okej.

Wiedziałam, że zaraz się zabierze, więc powiedziałam szybko:

Poczekaj, ja gdzieś mam jedną Elle.

Zastygł. To, że nie dodałam „Fitzgerald”, wytworzyło od razu między nami głębokie porozumienie.

Uklękałam pod półką i zaczęłam szukać.

— Macie jakieś kłopoty? — spytałam chytrze zza fotela. — Ty, Genek i ten plafus?

— Mhm — mruknął.

— Poważne? — brnęłam dalej.

— Poradzimy sobie — powiedział groźnie.

— Może wam pomóc?

— Sprawa wewnętrzna — powiedział.

— Klasowa? — spytałam.

— Klasowa.

— Masz — powiedziałam — weź sobie w prezencie.

Aż poczerwieniał.

— Musimy wykończyć Woznińskiego — odplacił mi się.

— A bo co?

— Bo za dużo gada.

— O czym?

— O literaturze.

— Jak to?

— Jego ojciec jest bibliotekarzem, ten bałwan tylko czyta, na lekcji pół godziny gada i się popisuje. Mamy tego dosyć.

— Taki facet to skarb — zawyrokowałam. — Nawala połowę lekcji. Nie rozumiem, o co wam chodzi.

— Kiedy pani od polskiego zapomina, co on powiedział, a co ona, i potem pyta z Woznińskiego. A my obrywamy dwóje — wybuchnął Paweł jak gejzer.

Moja misja była skończona.

Wytarłam podłogę w przedpokoju, wytarłam dywan, pozamiatałam okruchy i otworzyłam okno. Potem zadzwoniłam do matki Pawła.

— Spokojna głowa — powiedziałam. — Oni tylko wykańczają Woznińskiego. Ellę Fitzgerald wziął i torbę od SAS-u. Chopin ich nie interesuje. Niech pani przyjdzie na herbatę, ja pani to wszystko szczegółowo wytłumaczę.

— Może by mu spróbować kupić parę normalnych butów skórzanych — zaproponowałam szybko, przed samym odłożeniem słuchawki — nigdy nie wiadomo, może zasmakuje.

CIEŻKIE JEST ŻYCIE

Paweł stał na schodach, oparty o parapet okienny i stukał palcami w szybę.

— Cześć — powiedziałam.

Wyprostował się, przestał stukać i nawet uśmiechnął się krzywo.

— Cześć — odburknął.

— Czemu stoisz na schodach?

— Klucza nie dają — powiedział krótko.

— Dlaczego?

— Mówią, że zgubię.

— A gubisz?

— Raz. No, dwa razy.

Zaczął znowu bębnić po szybie. Widać komponował.

— Ale potem go znalazłem — dodał.

— No to świetnie — ucieszyłam się.

— Kiedy oni przez ten czas zmienili zamek.

— No to wejdź na chwilę do mnie — zaryzykowałam.

Weszliśmy do mieszkania.

Poprosiłam go do pokoju, siedliśmy naprzeciwko siebie. Patrzyłam na jego nogi i myślałam, że trzeba będzie potem zapastować podłogę.

— Ty masz bardzo sympatyczną matkę — odezwałam się dydaktycznie.

— Taak?

— Ojciec kiedy przyjedzie?

Wzruszył ramionami.

— Gdzie jest w tym tygodniu?

— Nawet nie wiem. W jakiejś cegielni na inspekcji.

— Nawala?

— Coś mówił, że przysłali rachunek na kilkadziesiąt tysięcy za urządzenie trawnika i klombów.

— No to co?

— Ten rachunek był ze stycznia.

Zamyślił się.

— Pani ile dałaby tygodniówki? — spytał nagle.

— Komu?

— No, gdyby pani miała syna?

— Nie mam pojęcia. A ty ile dostajesz?

— Mało — powiedział krótko.

— A inni dostają więcej?

— Wszyscy dostają mało — powiedział ponuro.

— Ale więcej niż ja, chociaż się nie przyznają — dodał.

— Ty nie jesteś zadowolony ze swoich rodziców?

— zapytałam.

Wzruszył ramionami.

— Trudna sprawa — westchnął.

— Mama się ciągle awanturuje — powiedział nagle

— a ojciec, jak przyjeżdża, to robi u mnie inspekcje, a potem przemawia. Diabli człowieka biorą.

— O co matka się awanturuje?— zapytałam, bo to bardzo ciekawe.

— Wczoraj o szyję — powiedział z pogardą. Spojrzałam na jego szyję. Była w paski. W środku pas

biały, a wyżej i niżej różne odcienie szarości.

— Rozumiem — powiedziałam z przekonaniem.

— Traktuje mnie jak małe dziecko.

— No cóż, trzeba się myć — powiedziałam z westchnieniem.

— Ale nie co chwila! — wybuchnął. — W czwartki i tak chodzę na basen, to się moczę. Pani chodzi?

— Nie — wzdrygnęłam się.

— Dlaczego?

— Wolę się kąpać w wannie. Poczekać, ale o co jeszcze są awantury?

— O twarz.

— Też w sprawie mycia?

— No pewnie. Mama mi wciąż każe myć zarost. Ona myśli, że on od tego zniknie.

— To może byś się ogolił!— zaproponowałam śmiało.

— To znowu ojciec nie pozwala.

Zadumałam się. Rzeczywiście, ciężkie jest życie takiego chłopaka.

— Mówi, że sam zaczął się golić, jak miał siedemnaście lat. To muszę jeszcze rok czekać.

— Zapytam mojego męża, kiedy się zaczął golić

— zaofiarowałam się.

Entuzjazmu nie wykazał.

Zrobiło mi się go strasznie żal.

—_ Może jakoś załatwię ci to golenie — obiecałam.

— Zaproszę ich w niedzielę po południu na herbatę i spróbuję.

Uśmiech rozjaśnił *mu* całą zatroskaną twarz.

— Byczo — krzyknął — to ja sobie zaproszę platfusa na płyty. Na piątą, dobrze? I niech pani trzyma do siódmej, zgoda?

— Zgoda, zgoda. Ale mama ci chyba nie zabrania zapraszać kolegów?

— Wprost przeciwnie. Wchodzi z czekoladkami i pyta o szkołę.

— Oburzające! — stwierdziłam.

Zerwał się, podał mi spoconą rękę.

— Już spróbuję pójść na górę — powiedział.— Pani jest równa babka.

Odprowadziłam go do drzwi, wróciłam do pokoju i otworzyłam okno.

Kiedy mąż wrócił do domu, zapytałam go:

— Ile lat miałeś, kiedy zacząłeś się golić?

— Nie mam zielonego pojęcia — powiedział i spojrzał na mnie podejrzliwie. — A bo co?

— Nic — odpowiedziałam.

Widocznie trzeba mieć syna, żeby takie rzeczy pamiętać.

BEKSALA NABIJE

W słuchawce telefonicznej najpierw zabalgotało, potem chrząknęło, a potem rzekło:

— Proszpani.

— Pomyłka — powiedziałam, jak mogłam najuprzejmiej.

— Nie, to ja — odpowiedziało.

— A jaki pani chciała numer? — panowałam nad sobą wspaniale.

— Ja nie pani, ja właśnie z panią.

Położyłam słuchawkę bardzo łagodnie na widełki i wróciłam do kolacji. Jedliśmy pasztet z zająca, upolowanego przez męża Krystyny, i bardzo nie lubimy, żeby nam przy tym przerywano.

— Kto to był? — spytał mój mąż dość niewyraźnie.

— Jakaś wariatka — stwierdziłam krótko.

Aparat jak aparat. Zadzwoił oczywiście znowu.

Mąż wstał energicznie, przełknął i powiedział „halo” takim basem, że sama się przestraszyłam.

— To ta sama wariatka — oświadczył — nawet się nie odezwała.

Kiedy z pasztetu nie było już śladu i piliśmy samą herbatę, telefon odezwał się, nawet jak gdyby bardziej natarczywie niż zwykle.

— To brzmi jak Hania — stwierdził mój mąż — odbierz sama.

Odebrałam.

— Tu Paweł — powiedział gruby głos i dodał cienie:

— Już dzwoniłem, ale było dziwnie:

— Tak, Pawle, — spieszyłam się.

— Przyjść można? Sprawa ważna — powiedział krótko.

— Wal — powiedziałam jeszcze krócej.

— Cześć!

— Cześć!

Poszłam do przedpokoju. Ktoś oddychał pod drzwiami.

Otworzyłam szparę w drzwiach. Stał Paweł. Chciałam powiedzieć, żeby się nie garbił, ale się powstrzymałam.

Poszliśmy do kuchni. Kazałam mu usiąść na zydelku i zaczęłam spokojnie zmywać.

— Dałam im numr telefonu. Pewno zadzwonią jutro — powiedział po chwili.— Nie szkodzi?

— Komu dałeś nasz numer telefonu?— spytałam chłodno.

— Telewizji.

— Dlaczego?

— Bo będą dzwonić — powiedział zwięźle.

— Aha.

Ale pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie.

— Słuchaj, mów wyraźnie, bo teraz to ja nic nie rozumiem — powiedziałam zwyczajnie, jak gdyby do własnego syna.

— Bo mnie wrobił ten Beksal — oświadczył Paweł groźnie — ja go jeszcze wymaluję.

— W co cię wrobił? — o mały włos nie upuściłam do zlewu filiżanki.

— W telewizję. Oni mnie zabrali sprzed szkoły i kazali przyjść do bufetu.

— Do jakiego bufetu?

— Czy ja wiem. U nich się pracuje w bufecie.

— No i co?

— Poszedłem.

— No i co?

— Kazali mi czytać ogniem...

— Co?

— I mieczem.

— Zaraz, zaraz, nic nie rozumiem.

— Ja też nie — westchnął Paweł.

— I czytałeś?

— Czytałem.

— I co powiedzieli?

— Że połykam końcówki.

— No tak.

— I że zadzwonią albo nie zadzwonią i kazali dać numer.

— Już rozumiem — ucieszyłam się. — Miałeś próbę do roli z

„Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza.

— Nie.

— Jak to?

— Z „Pustyni i puszczy”.

— To dlaczego kazali czytać z „Ogniem i mieczem”?

— Bojawiem.

— No i co?

— Chyba z tego nic nie wyjdzie.

— Zobaczymy, może zadzwonią — pocieszałam go.

— Kiedy ja wcale nie chcę — mruknął. — I Beksala nabiję. On tam u nich stale gra i wrobił akurat mnie. Na złość.

— Przecież to chyba frajda — odważyłam się powiedzieć.

— Eeeee.

— Rodzice wiedzą?

— Gdzie tam. Dlatego dałam pani telefon.

— Bardzo się cieszę — ucieszyłam się.

— Oni by rozrabiali. Pani nic nie powie?

— Nie powiem.

— Może zapłacą — zadumał się, wstał, uklonił się elegancko i wyszedł.

Nazajutrz jak zwykle spotkałam matkę Pawła w naszym SAM-ie, ale milczałam jak grób; nawet może byłam trochę nieuprzejma, mimo że zwróciła mi uwagę na dmuchany ryż.

Telefon wcale nie dzwonił przez cały dzień i dwa razy podniosłam słuchawkę, żeby zobaczyć, czy działa, i raz nakręciłam zegarynkę.

Po południu miałam wyjść na kawę z jedną znajomą ale powiedziałam, że mnie głowa boli.

Przed samą siódmą zobaczyłam, że na kolację chleba nie ma i szybko wyskoczyłam do sklepu. W bramie stał Paweł oparty o ścianę i gwizdał „Embarras”.

— Nic — powiedziałam.

Wstrząsnął ramionami.

— To byczo — powiedział — jeszcze by tego brakowało. I tak bym się nie zgodził. A mąż w domu? — spytał uprzejmie.

— Oczywiście — skłamałam.

W sklepie złapałam pierwszą lepszą starą bułkę francuską i

biegiem wróciłam do domu.

Paweł wciąż stał w bramie, ale nie gwizdał.

Tego wieczoru już nikt nie zadzwonił.

Nazajutrz matka Pawła przysłała zapytać się, czy u nas też nie ma ciepłej wody, i dodała, że Paweł jest bardzo zdenerwowany i czyta godzinami „W pustyni i w puszczy”, co ich niepokoi. Poprosiłam, żeby mi kupiła marchewki i ćwiartkę masła, bo bałam się wyjść z domu.

Paczkę przyniósł Paweł. Był mizerny i bardzo zgarbiony.

— Już wiem na pewno, że to robota Beksala — odchrząknął. — Dam mu taką szkołę. Za nic bym się nie zgodził. Nie jestem wariat.

W tej samej chwili zadzwonił w pokoju telefon. Rzuciliśmy się oboje biegiem. Byłam pierwsza.

Paweł stał przede mną z nonszalancką miną, ale bardzo czerwony.

— Jutro o trzeciej — powiedziałam, zasłaniając ręką słuchawkę. — Co mam powiedzieć? Że nie masz czasu?

— Mam, mam! — wrzasnął. — Gdzie?

— W bufecie — odezwał się ze słuchawki ciepły alt.

— O rany, Irena Dziedzic! — krzyknął Paweł i zbladł jak płótno.

Posiedzieliśmy sobie jeszcze chwilę razem, żeby ochłonać, i jedliśmy dużo „krówek”.

Wreszcie Paweł zabrał się do wyjścia. Odprowadziłam go do drzwi. Podał mi dość zapoconą rękę i uśmiechnął się jednym kącikiem ust na pożegnanie.

— A Beksala jutro nabiję — powiedział jeszcze i trzasnął drzwiami.

WAŻNA WIADOMOŚĆ

Pawła nie widziałam przez dobry tydzień. Poszłam więc dwa piętra wyżej, żeby pożyczyć szklanek cukru.

W mieszkaniu była cisza, nie słyhać było nawet jazzu, więc domyśliłam się, że Pawła w domu nie ma.

— Co u państwa? — zapytałam zupełnie na serio.

— Z Pawłem coraz gorzej — westchnęła matka Pawła.

— Chory?

— Bo ja wiem, może i chory — powiedziała ponuro.

— Gorączkę ma?

— Nie.

— A co mu jest?

— Strasznie wojuje z ojcem.

— Mianowicie?

— Ojciec zabronił mu wystąpić w telewizji.

— Dlaczego?

— Bo przyniósł cztery dwójce.

— Z czego?

— Z polskiego, z matematyki, z rysunków i z gimnastyki.

— To rzeczywiście straszne. Może by mu jakoś pomóc?

Korepetycje?

— Kiedy to bardzo trudno. Bo on tych dwój wcale nie.. ma z przedmiotów.

— Az czego?

— Dwójkę z polskiego ma za nieładny charakter pisma.

— Az matematyki?

— Bo miał ośle uszy w zeszytach.

— Z rysunków?

— Bo zapomniał przyrządów.

— No a z gimnastyki?

— Z gimnastyki za to, że nie można w sklepach kupić kolorowych koszulek gimnastycznych.

— Nie rozumiem.

— Jak są, to tylko białe, a szkoła obowiązkowo każe mieć zieloną.

— Ja mu ufarbuję — zaofiarowałam się szybko.

— Ja mu już jedną ufarbowałam, to się tak skurczyła, że nie mógł jej włożyć. A druga zesza, jak się spocił, na koszulę wierzchnią i na ciało. Dwa dni moczyliśmy go w wannie i wciąż był zielony.

— No to dlaczego ojciec go ukarał, kiedy on w gruncie rzeczy nie jest winien? — spytałam spokojnie.

— Kiedy mówiłam pani, że przyniósł cztery dwójce ze szkoły — powiedziała matka Pawła z nieukrywaną niecierpliwością.

Zerwała się nagle z krzesła i pobiegła do drzwi wejściowych. Widocznie matki mają rzeczywiście intuicję, bo wcale dzwonek nie zadzwonił, a Paweł był pod drzwiami.

Nie usłyszałam, żeby się przywitał z matką.

— Zdejm buty w przedpokoju — powiedziała matka Pawła. — I na litość boską, rozwiąż przedtem sznurowadła. I płaszcz powieś w szafie, a nie rzucaj na krzesło. A szalik złóż, upadł na podłogę, i włóż kaptcie, i umyj ręce,

i uczesz się, i wejdź do pokoju, bo tam jest ktoś, kto się chce z tobą przywitać.

'Nastąpiły jakieś szepty, po czym matka Pawła, dość czerwona na twarzy, wróciła do pokoju.

— Zaraz pewnie tu przyjdzie — powiedziała. — Najpierw nie chciał, myślał, że to któraś z ciotek i że mu powie, jak on okropnie wyrósł od lata. Ale jak się dowiedział, że to pani, to tylko coś mruknął i poszedł do łazienki.

Siedziałam na skraju kanapy ze szklanką cukru na kolanach i kiedy matka Pawła zaproponowała herbatę, zgodziłam się.

Jak tylko wyszła, w progu stanął Paweł, jakby wyrósł spod ziemi.

— Dobry — przywitaliśmy się starym zwyczajem.

— Co z tą telewizją? — spytałam.

— Klops.

— Ale chcieli cię, co?

— Pewnie. Nawet w końcu dzwonili do starego.

- No i co?
- Uparł się.
- I kogo wzięli?
- Takiego łyska z jedenastej klasy.
- Dobrze się uczy?
- Nie, ale ojca nie ma.

Zamilkliśmy.

Matka Pawła weszła z tacą, na której były trzy filiżanki. Paweł stał na środku pokoju jak wrośnięty w podłogę i nie ruszył się, żeby jej ustąpić z drogi.

- Napijesz się z nami? — uśmiechnęła się do niego.
- Nie — powiedział krótko.

Wyszła znowu.

- Dlaczego się gniewasz na mamę? — spytałam.
- Bo ojciec zaraz wziął i wyjechał w teren, to co mam robić?
- Kiedy wraca?
- Pewnie w sobotę, ale będzie zmęczony.
- Nie napiłbyś się herbaty?
- U pani? — ucieszył się.
- Nie, teraz z nami.
- Nie mogę.

— Mama by się ucieszyła — próbowałam go zachęcić.

— No właśnie — zgodził się, uklonił się do pasa, dość uroczyście podał mi ogromną rękę i wyszedł z pokoju. W progu zderzył się prawie z matką, która niosła talerz pełen pączków.

Aż zadrżał cały, tak gwałtownie się zatrzymał.

— No to siadaj że z nami — poprosiła matka Pawła.

Stał chwileczkę i dwa razy przełknął głośno ślinę.

— Proszam — mruknął, zniknął i po chwili słychać było rozdzierające dźwięki jakiejś murzyńskiej ballady.

Siedziałyśmy długo, piłyśmy herbatę, pączki pozostały nie tknięte.

Mówiliśmy o tym, jak spędzimy Sylwestra i że nie ma rodzyneków na mieście, i że nogi marzną zimą, i że jak się nogi trzyma ciepło, to się nigdy nie złapie kataru, nawet w najgorszą pogodę, i że nie zapuścimy włosów, żeby nawet w Paryżu stawali na głowie.

Potem wróciłam do domu, zrobiłam kolację i zaczęłam namawiać męża na kupno telewizora. Byłam nawet już dość zaawansowana i naradzaliśmy się, jak przestawić meble w mieszkaniu, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Mąż, który mimo że jesteśmy piętnaście lat po ślubie, wciąż zachowuje się przyzwoicie, wstał nawet dość szybko z fotela i poszedł otworzyć.

— To była matka Pawła — powiedział, gdy wrócił.

— Szła na spacer i tylko po drodze wpadła, żeby ci powiedzieć, że Paweł zjadł wszystkie pączki. Nie chciała telefonować, bo on wszystko słyszy.. Nie wiem, dlaczego to jest taka ważna wiadomość, no ale ci mówię.

— Świetnie! — ucieszyłam się. — To jest bardzo ważna wiadomość, ale nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

ŚWIĘTA BEZ DZIECI

Matka Pawła była szalenie zdenerwowana.

Telefonowała do mnie już od przedświątecznej środy, mniej więcej cztery razy dziennie.

— Moja kochana — mówiła — ja już nie wiem, co zrobić z tą wilią. Paweł jedzie w niedzielę rano na rykowisko, to znaczy, przepraszam, na zimowisko, to się teraz tak nazywa, ale oni tam chyba będą jeździć na nartach, a mąż wraca z terenu w sobotę w nocy, a wilia w tym roku wypada w niedzielę, a tymczasem mówią, że może być wyprawiona też w sobotę, ale co to za wilia bez męża.

— No to zróbcie w niedzielę — poradziłam.

— To znowu Pawła nie będzie.

— To już nie wiem.

— To może przyjdziecie do nas?

— Którego dnia?

— Żebym ja wiedziała!

— A jak zrobiliście w zeszłym roku?

— No zwyczajnie w wilię.

— No to zróbcie tak samo.

— No właśnie. Tylko w sobotę czy w niedzielę?

— A co mówi Paweł?

— Nic. Tylko że jedzie w drelichowych spodniach, a tu mróz i że szalika za nic nie włoży, bo tego nikt już nie nosi, i żebym mu uszyła flanelowy pokrowiec na gitarę, bo on ją musi zabrać i boi się, żeby mu się nie przeiębiła.

Po południu w piątek Paweł zadzwonił do drzwi bardzo cichutko i przez próg zapytał, czy nie mogłabym pożyczyć jego matce trochę żelatyny. Mogłam.

— Wejdz - zaproponowałam.

— Traktory — powiedział tylko.

Spojrzałam na jego nogi.

Obuty był w niezwykle dużych butach na karbowanej

czarnej gumie. Poza tym rzeczywiście miał na sobie szalenie wąskie drelichowe spodnie i leciutko trząsał się z zimna. Na słomiance powstawała powoli czarna kałuża. Dałam mu dwa kawałki sukna i kazałam wejść.

Poszłam do kuchni, znalazłam żelatynę, sprzed kilku lat-gdzieś na dnie kredensiku, zapakowałam i wróciłam do przedpokoju. Trochę się przestraszyłam, bo Paweł stał na tych suknach i robił jakieś bardzo dziwne rzeczy całym ciałem, wcale nie poruszając nogami. Pewno się chce rozgrzać, pomyślałam chytrze i zignorowałam go.

— Twist — powiedział krótko. Przez chwilę próbowałam się domyślić, o co chodzi.

— Kristiania — odpowiedziałam równie krótko. Był wyraźnie zdezorientowany.

— Świąteczny „Przekrój” — dorzucił. — Marino Marini.

— To do ryby czy galaretki owocowej? — zmieniłam temat.

Był szybszy ode mnie.

— Zapytam się — przyrzekł.

Staliśmy tak w przedpokoju. Szkoda mi go było puścić z domu.

— Co byś chciał na Gwiazdkę, ale tak naprawdę?

— zapytałam- wreszcie, bez żadnych kawałów, tak jakby Paweł miał osiem lat. Było nie było.

Podziałało.

— Chciałbym, żeby mnie ktoś nauczył tańczyć charlestona — powiedział wyraźnie i zupełnie głośno całe to długie zdanie.

— No to chodźmy do pokoju.

Przyniosłam buty męża na zwykłych podeszwach skórzanych i kazałam je włożyć Pawłowi.

— Jak pani była młoda — westchnął Paweł — to wyście to wciąż tańczyli, co?

— Podglądałam matkę, ale wszystko pamiętam — powiedziałam zgodnie z prawdą.

Kazałam mu zwinąć dywan, wzięliśmy dwa krzesła od stołu jadalnego, zaczęłam śpiewać „Yes, Sir, that’s my Baby”. Diabli wiedzą, skąd takie rzeczy biorą się w ludzkiej pamięci. Po

godzinie Paweł tańczył świetnie. Zanim mąż wrócił do domu, nie było śladu po niczym. Zrobiłam mu na kolację omlet z cebulką i podgrzałam wczorajszą zupę. Nic nie powiedział, bo wiedział, że jestem zajęta przygotowaniem Gwiazdki.

W piątek późnym wieczorem zadzwoniła znowu matka Pawła i powiedziała, że wszystko już się ułożyło, że zrobiła dziką awanturę międzymiastową mężowi i zażądała, żeby przyjechał na sobotnią wilię. I że pewnie przyjedzie, a jak nie, to ponieważ się teraz gniewają na siebie, to będzie można zrobić spokojnie wilię bez niego. I żebyśmy przyszli.

— Musicie — dodała. — Co to za wilia bez dzieci.

Przyrzekłam, że przyjdziemy.

Potem zadzwoniła teściowa, że u niej wilia w niedzielę i zaprosiła.

W sobotę ogarnęła mnie panika i pobiegłam do garmazerni, gdzie kupiłam rybę faszerowaną i w galarecie, sałatkę śledziową, zimny schab, zimną cielęcinę i pół kilo tataru.

Całe popołudnie schodziłam do sklepu po chleb, bo wciąż nie przywozili, a gdy wreszcie przyjechały bochenki, kupiłam z tego wszystkiego trzy.

Na moje nieszczęście zauważyłam nagle na półce puszkę rumuńskiego zielonego groszku po dwanaście pięćdziesiąt i kazałam sobie dać cztery.

Gdy już wychodziłam, nie było prawie ludzi w sklepie i panny zabierały się praktycznie do fajerantu, kiedy przywieziono skrzynki z pomarańczami. Nie było wyjścia, kupiłam dwa kilo i zostało mi w kieszeni dwanaście złotych i czterdzieści pięć groszy.

Mąż już był w domu. Był bardzo zadowolony z siebie, bo przyniósł dwa bochenki chleba lecytynowego z Delikatesów (nie starzeje się) i dwa kilo pomarańcz. Zostało mu w kieszeni siedem złotych osiemdziesiąt.

*

Ojciec Pawła zdążył na sobotę wieczór do domu i nawet przywiózł ze sobą zająca z terenu i żonie zaaplikował czeski naszyjnik ze sztucznych brylantów i rubinów oraz także kolczyki. Paweł dostał dwa szaliki wełniane, dwie pary

rękawiczek narciarskich z nieprzemakalnego płótna i trzy powieści współczesne dla młodzieży. Mój mąż dał mu szczyryk, a ja wyciągnęłam demagogicznie płytę Presleya zakupioną w prywatnym komisie.

Jedliśmy wszystko co trzeba i matka Pawła ani razu nie powiedziała mu, żeby już przestał, bo się przeje, co wymagało rzeczywiście wielkiej dyscypliny wewnętrznej.

Pożegnaliśmy się wcześniej, bo nazajutrz skoro świt miał się odbyć odjazd Pawła i wzięliśmy sodę oczyszczoną, pastylki „Vichy” oraz po gumowym worku z gorącą wodą do łóżka. Spaliśmy marnie.

Już w niedzielę rano zaczęto dzwonić w sprawie jedzenia. „Może byście przyszli, mamy indyka”. Ponieważ wieczór mieliśmy zajęty, załamaliśmy się dopiero po czwartym zaproszeniu i zgodziliśmy się przyjść o piątej na godzinę, pod warunkiem, że nie będzie nic do jedzenia. Gospodarze mieli wilię poprzedniego dnia, więc na stole stała ryba w galarecie, zimne mięsa, ćwikła, pasztet i owoce. Zjedliśmy makowiec i placek, popiliśmy herbatą i zostawiliśmy gospodarzy przy pełnym stole. Byli wyraźnie podenerwowani.

Wilię niedzielną zjedliśmy u teściowej.

W poniedziałek nie jedliśmy śniadania. Ale zgodziliśmy się po zapewnieniach, że nie będzie prawie nic do jedzenia, na odwiedzenie jednych znajomych pomiędzy pierwszą a drugą, innych około piątej, a na kolację byliśmy już umówieni od dawna u mojej kuzynki. Pasztet najlepszy był na drugiej wizycie.

*

We wtorek telefony były już błagalne. „Przyjdźcie i pomóżcie coś zjeść”. Pomogliśmy w dwóch miejscach i to tylko dlatego, że byli to naprawdę bliscy ludzie. W szędzie szliśmy piechotą i zanosiliśmy pomarańcze.

We środę po południu przyszła matka Pawła. Wyglądała niedobrze. Dałam jej świeżo parzony „Yunan” bez cukru i bez cytryny. Dała mi jakieś szwajcarskie białe pigułki, które dostała od kogoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych — antidotum pobankietowe.

— To były pierwsze święta bez Pawła — westchnęła — i musieliśmy wszystko sami jeść. Na przyszły rok będzie jeszcze gorzej, bo Wigilia wypada w poniedziałek. Trzeba go będzie jakoś zatrzymać w domu.

GEŚ DLA SOLENIZANTA

— Wrócił? — spytałam matkę Pawła.

— Wrócił — westchnęła.

— Zadowolony?

— A czy to on mi powie — spojrzała na mnie z lekkim wyrzutem. — Może się pani czego dowie — dodała.

— Musiało być nieźle, bo był jeszcze brudniejszy, niż kiedy wrócił po całym miesiącu z letnich kolonii.

— Na nartach jeździł?

— Chyba tak, bo jedna złamana.

— Hm.

— Jedną rękawicę narciarską zgubił, pieniądze wydał co do grosza, wszystko, co zabrał, przywiózł brudne, z wyjątkiem ręczników. Poza tym ma nową płytę jazzową, ale za to nie mogę znaleźć jego niebieskich dżinsów.

— Urósł?

— Na oko tak. Zmierzyć się już nie daje. Kiedyś tośmy mieli na framudze drzwi znaki, ale teraz...

Szłyśmy powoli, z siatkami na zakupy, po bazarze na Polnej.

— I w ogóle ma jutro urodziny — westchnęła nagle matka Pawła. — Pani wie, ile on ważył?

— Pojęcia nie mam.

— Nie zgadnie pani. Dwa kilo.

— To sporo — ucieszyłam się.

— Sporo! — matka Pawia aż przystanąła. — No tak, pani to dzieci nie ma, to się pani nie orientuje. To bardzo mało.

Spojrzałam na siatkę, w której miałam już ziemniaki i dużą główkę kapusty. Nie była lekka.

— No, widzi pani, i jaki za to wyrósł — powiedziałam nieśmiało.

— A ile w tym było wysiłku — zdenerwowała się matka Pawła. — Taki mały to je za dwóch.

Spojrzała na mnie z boku, żeby zobaczyć, jakie to robi na

mnie wrażenie. Widocznie zbyt uważnie przyglądałam się serowi śmietankowemu i wielkim, białym jajom, które leżały na ladzie.

Matka Pawła chwyciła sporą gęś i zaczęła ją ważyć w rękach.

— Gąskę pani kupi, świeżutka — zachwalała od razu przekupka.

— Niech pani potrzyma tę gęś — krzyknęła matka Pawła na mnie.

— Kiedy to dla nas za dużo.

— Ale niech pani tylko zobaczy.

— Poza tym mąż nie bardzo lubi.

— Mniejsza z tym. Ile to waży? — zwróciła się do przekupki.

Odbyło się długie ważenie gęsi.

— Trzy kilo piętnaście — oświadczyła wreszcie przekupka.

— No, widzi pani — ucieszyła się matka Pawła.

— Trzy kilo piętnaście, niech sobie to pani teraz porówna.

- Niech panią pan Bóg broni przed mrożoną—wrza- snęła przekupka. — - Nawet nie ma co porównywać. Mrożona twarda jak kamień i w ogóle nieświeża i świństwo okropne. Nie da się wcale strawić.

— Ważył o kilo piętnaście mniej powiedziała matka Pawła nie bez dumy.

— To rzeczywiście — zgodziłam się.

— Takie małe coś to sama skóra i kości — powiedziała przekupka. — Nie warto się nawet paprać z takim maleństwem. Ani mięsa, ani smalcu.

— On teraz waży siedemdziesiąt kilo — matka Pawła odłożyła gęś na stos innych świeżych bitych gęsi.

— Cóż, po szesnastu latach!

— Kupuje pani czy nie kupuje — zaczęła się irytować przekupka. — Dwadzieścia osiem złotych kilo. Lepsze niż polędwica.

— To niech pani zapakuje, ale dobrze, żeby mi nie przeciekło — powiedziałam w popłochu.

— Przecież cały czas mówiła pani, że nie lubicie gęsi

— zdziwiła się matka Pawła, gdy kupowałyśmy jabłka na

nadzień.

— Kiedy to dla państwa — zabłysła mi nagle myśl
— na ucztę urodzinową dla Pawła. Jabłka też, proszę.
Wpakowałam jej szybko gęś i jabłka do torby. Niech
przynajmniej ponosi.

Przy wyjściu z targu kupiłam jeszcze dziesięć deka pieczarek.
Za tramwaj zapłaciła, na szczęście, matka Pawła, która
wepchnęła się pierwsza.

*

Na obiad mieliśmy tego dnia dość dziwne menu. Ziemniaki
zapekane z pieczarkami i surówkę z kapusty. Ale mój mąż i tak
czytał gazetę i tylko kiwał głową.

WIEK TELEFONICZNY

O czwartej po południu zadzwoniłam do matki Pawła.

Było zajęte.

Miałam pilny interes, bo mąż Krystyny znowu upolował dziesięć zajęcy i dał nam jednego. Miałam go nawet zamiar oddać szefowej męża, ale powiedziano mi, że to ostatni zając w tym roku i że nie wiadomo, czy na przyszły rok jeszcze będą zajęce, więc zdecydowałam się zrobić pasztet. Jednym słowem potrzebny mi był przepis i wątroba.

Zadzwoniłam po raz drugi. Było zajęte.

Zadzwoniłam o piątej. Było zajęte.

Dodzwoniłam się o szóstej. W słuchawce zabrzmiał głęboki bas Pawła.

— Tak — powiedział oczywiście.

— Czemu nie? — odpowiedziałam pedagogicznie.

Nie zdziwił się.

— Mama — zawołał — do ciebie.

Matka Pawła miała najlepszy na świecie staropolski przepis na pasztet, wymagający olbrzymiej ilości różnych mięs i przypraw, ale przez telefon dyktować go nie chciała.

— Niech pani przyjdzie na górę, moja kochana — zaproponowała. — Ja nie mogę tak długo zajmować telefonu.

Kiedy przyszłam do nich, Paweł stał w przedpokoju, wciśnięty w kąt, odwrócony plecami do świata i mruczał. Trochę się przestraszyłam, ale zaraz zobaczyłam, że spod niego wychodzi sznur od telefonu.

Matka Pawła szybko zagarnęła mnie do pokoju i zamknęła ostrożnie drzwi.

— Nie wiem, co się stało — powiedziała. — Od czasu jak wrócił z tego zimowiska, to nic tylko telefonuje. Albo on, albo do niego.

— Może organizują jakąś zabawę karnawałową — rzuciłam ochoczo.

— Może. Nie domyśli się pani, bo on tylko mruczy jakieś sylaby. Nie wiem, czy ta osoba po drugiej stronie coś mówi, czy też oni mają jakiś szyfr. I ile osób do niego dzwoni, i jakiej płci, i w ogóle czuję się nieswojo we własnym domu od kilku dni.

— Może mu to przejdzie — zaproponowałam.

— Obawiam się, że nie — westchnęła matka Pawła.

— Pytałam mojej kuzynki, która ma takich dwóch, trochę starszych. Mówi, że jak się raz zacznie z telefonem, to trzeba albo zlikwidować telefon, albo się przyzwycząić.

— Może pani w razie czego zejść do mnie i dzwonić.

— Dziękuję bardzo, nie śmiałam prosić o to, ale bardzo chciałabym zadzwonić do tej właśnie kuzynki, bo tam u nich grypa.

— W każdej chwili.

Dostałam przepis i poszłam do siebie. W przedpokoju Paweł wciąż mamrotał w kącie i nawet nas nie zauważył.

Po jakiejś godzinie matka Pawła zeszła do mnie i próbowała zadzwonić do chorej kuzynki. Było zajęte.

— No tak — westchnęła — zapomniałam, że jest już po godzinach szkolnych.

— ??

— Mówiłam pani, ma dwóch w wieku telefonicznym. Podałam herbatę. Siadłyśmy.

— Pani pozwoli, że załatwię kilka spraw? — spytała matka Pawła.

Pozwoliłam.

Zadzwoniła do gazowni w sprawie piecyka w łazience. Zadzwoniła do Delikatesów, żeby się dowiedzieć, czy są cytryny. Powiedzieli, że są już w Gdyni. Zadzwoniła do jednej pani i zaprosiła ją z mężem na kolację na sobotę. Zadzwoniła do siebie do domu, żeby się dowiedzieć, czy mąż już wrócił do domu. Wrócił.

Zerwała się, podziękowała.

— Męża się krępuje — powiedziała. — Jak tylko mąż wraca do domu, to zaraz przestaje dzwonić. Za to bierze książkę i idzie na kilka godzin do łazienki.

- Możecie państwo do nas – pośpieszyłam się trochę.
- Dziękuję – ucieszyła się matka Pawła. – Tacy sąsiedzi to skarb.
- Czy pani wie? – westchnęła jeszcze od progu.
- Właściwie marzeniem to by była dla niego łazienka z telefonem.
- Nie – zaprotestowałam. – Gdzie by czytał?
- Naturalnie – zgodziła się matka Pawła od razu.
- Ma pani zupełną rację. Przez niedzielę przeczytał tam cały pierwszy tom „Lalki”.
- No, widzi pani, jaki to zdolny chłopiec.
- Nie narzekam, nie narzekam – powiedziała już od schodów. – Tylko że trudno się tak wciąż do czegoś nowego przyzwyczajać.

WORKI MODNE

Gdy wracałam do domu, gdzieś koło drugiej, spotkałam go na ulicy. Nie widział mnie. Szedł przygarbiony jak zawsze, drelichowe spodnie opadały mu na traktorki. Kaptur palta pod tytułem budrysówka miał narzucony na plecy. Rękawiczek nie nosił.

Przez plecy miał przerzucony duży brezentowy worek, dość chyba ciężki, na którym napisane było coś w rodzaju „KS Warta”, a może „Odra”, nie jestem pewna. Był duży mróz.

Pomyślałam sobie, że wygląda na chłopca steranego życiem, pełnego ciężkich kłopotów i że czas, żeby sobie wymyślił jakieś inne przebranie i co bym zrobiła, gdyby był mój.

Po południu, kiedy właśnie podlewałam kaktusy, jakie hoduję na frontowym oknie i które oblaży jak co roku takim dziwnym białym, zobaczyłam go znowu.

Stał po przeciwnej stronie ulicy i widać czekał na kogoś. Był zupełnie inny.

Miał na sobie prawdziwe granatowe ubranie, z zaprasowanym kantem, białą koszulę, krawat i wyglansowane, czarne buty. Kurtkę mimo mrozu wciąż nosił rozpiętą i na głowie nic nie miał, podobnie jak na rękach, i trzymał już tylko mały brązowy woreczek. Wyglądał jakoś staroświecko, ale całkiem pogodnie. Woda wylała mi się na podłogę z tego wszystkiego i zaraz będę musiała zapastować.

Przestępował dość długo z nogi na nogę i rozglądał się. Po jakichś dziesięciu minutach nadeszła zupełnie młoda osoba płci żeńskiej, w ślicznym niebieskim płaszczku i futrzanej czapeczce, jednocześnie nadjechał autobus. Wsiedli i pojechali.

Potem nie widziałam go jakie trzy dni i już myślałam, że może ma grypę, ale nic podobnego. Zjawił się u mnie w połowie tygodnia, bo znowu nie miał klucza od swoich drzwi i nie mógł się dostać do domu.

Kazałam mu usiąść na stołku kuchennym, podczas gdy

kończyłam szykowanie obiadu.

Swój sportowy worek położył na podłodze i siedział zgarbiony i, jak zwykle, patrzył na czubki butów.

— Co masz w tym worku? — spytałam bez większego zainteresowania w głosie.

— Książki zeszyty kapć śniadanie — powiedział jednym ciurkiem.

— Teczkę zgubiłeś?

— Nieee.

— ??

— Nie nosi się.

— Dlaczego?

— Czyżawiem. Nie nosi się już.

— Aha — zrozumiałam. — Niemodne.

— Czyżawiem.

— A worek wygodniejszy?

— Nie — odpowiedział krótko, lecz zrozumiale.

— A ten mały, co miałaś w sobotę, jak szedłeś na bal maskowy? — nie wytrzymałam.

— To kapciowy.

— Z kapciami się teraz chodzi na bale?

— To była prywatka — oświadczył niechętnie — u koleżanki. Kazali buty zostawić w kuchni.

— Bardzo ładnie wyglądałeś — pochwalłam go.

— Dobrze się bawiłeś?

— Dobrze — powiedział do czubków swoich butów, ale zarumienił się z zadowolenia. — To był krawat ojca — dodał po chwili.

— Ojciec ci go dał?

— Nie, pożyczyłem, ale on nie wie.

— Na pewno by ci go dał, gdybyś poprosił — wstawiłam się.

— Możebydał, już go odłożył, bo czerwony. Oni teraz noszą od święta takie srebrne.

— No właśnie. Ładne, co?

— Ee — zaprzeczył.

Zaprawiałam barszcz jajkiem. Ziemniaki mi wykipiwały. Paweł siedział cichutko i tylko dwa razy przełknął głośno.

— Zjadłbyś ziemniaków z masłem? — zaświtało mi.

— Poperoszę — wyprostował się.

Dałam mu pełny talerz i okrasiałam masłem i suszonym koprem. Wyszłam dyskretnie do pokoju. Gdy wróciłam, talerz był czysty, w zlewie. Takie dziecko to skarb.

— Widziałam cię z ładną panienką — powiedziałam.

— To kuzynka.

— Ale ładna, prawda?

— To zależy.

— Dobrze tańczy?

— Z kuzynkami nie tańczę — powiedział stanowczo.

— No, naturalnie — zgodziłam się szybko.

— A w ogóle tańczysz?

— To zależy.

— Rocka?

— To zależy.

— Twista?

— Nie bardzo wiem jak — spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

— Ja też nie! — krzyknęłam szybko.

Mąż otworzył sobie drzwi kluczem i wszedł do kuchni. Zdjął buty, nałożył ranne pantofle i teczkę postawił przy worku Pawła. Przywitali się.

— Widziałem twojego ojca w windzie — powiedział do Pawła. — Z ciężką teczką — dodał.

Paweł zerwał się szybko, zarzucił worek na plecy i ruszył do drzwi.

— Co wy teraz z tymi workami? — zapytał mąż.

— Wszyscy uczniowie — oświadczył Paweł szybko i już go nie było.

Mąż zabrał swoją teczkę do pokoju, siadł przy stole i ukrył się za gazetą.

— Oni to wszystko na złość — mruczał.

Zajrzałam mu przez ramię. Czytał o planie uregulowania alei Świerczewskiego. Wzruszyłam ramionami.

— Kto oni? — spytałam.

Milczał. Tylko jak wstał, to nie wiem, czy niechcący, czy też umyślnie, silnie kopnął swoją wypchaną teczkę.

TRZEBA, TRZEBA

- Ja myślę, że on jednak nie jest zupełnie normalny
- powiedziała matka Pawła, już prawie że w rozpaczy.

Dałam jej spory kieliszek czerwonego węgierskiego wina. Siedziała i piła małymi łykami. Za szybko. Nie ma co, za szybko.

- Ależ dlaczego? – spytałam.

- Nie wiem, ale inne dzieci chyba się tak nie zachowują.

- Jak?

– Słowa nie mówi o tym, co robi poza domem. Zamyka się godzinami w łazience i już nie tylko czyta, ale nawet coś tam pisze. – Ja pani coś powiem – nachyliła się i szepnęła, chociaż byliśmy same w pokoju: – On mnie naprawdę nie cierpi.

- Skąd te wszystkie podejrzenia?

– Już wiem wszystko. Kupiłam sobie podręcznik wychowania – westchnęła matka Pawła.

- Świetnie, świetnie. A co oni piszą?

– Same błędy robiłam przez szesnaście lat – matka Pawła wyciągnęła pusty kieliszek bez słowa w moją stronę. Bez słowa nalałam jej do pełna.

- Jak to?

– No tak, już od małego psułam mu charakter. Na przykład nosiłam go na rękach, jak płakał.

- No tak, nie trzeba, bo się przyzwyczaił.

– Właśnie. Tylko że ja już teraz nie pamiętam, czy on się wtedy przyzwyczaił, czy nie. Pamiętam tylko, że mieszkaliśmy w jednym pokoiku, a przez ścianę byli starzy Kowalewscy i nie chciałam ich budzić.

- No tak – stwierdziłam jeszcze raz. – Rozumiem.

– Potem powinnam go była, jak się okazuje, posłać do przedszkola, jak miał cztery lata, żeby wyrobić w nim instynkt społeczny, ale go nie posłałam i rzeczywiście on

żadnego instynktu społecznego nie wykazuje.

— Trzeba było — zgodziłam się.

— Tylko że ja wtedy nie pracowałam i prawa do przedszkola nie miałam, a poza tym on miał zajęte gruczoły wnekowe. Ale w tym podręczniku mówią, że to egoizm i że go chciałam siłą trzymać przy sobie, i że w ten sposób znowu spaczyłam mu charakter.

— Kiedy on jest pyszny chłopiec i wcale spaczonego charakteru nie ma.

— To pani się tak zdaje, bo go pani nie ma na codzień. On w domu jest zupełnie inny. W domu ma zupełnie spaczony charakter — powiedziała bardzo głośno i wychyliła do dna kieliszek. Udawałam, że nie widzę, że jest pusty.

— Szczerze pani powiem, że opuściłam ten cały okres pośredni i od razu wzięłam się do wieku Pawła, Straszne rzeczy! Proszę pani, oni piją wódkę i palą papierosy po kryjomu, żeby udowodnić sobie nawzajem, że są dorośli, oni zaczepiają dziewczęta i wykradają drobne z torebek matek. Można ich porównać do samochodu — dodała nagle — do samochodu, który ma bardzo słabe hamulce. To zapamiętałam.

— Paweł pije wódkę! — zdumiałam się. — Nigdy bym nie powiedziała.

— Paweł nie pije — uspokoiła mnie matka Pawła.

— Ja teraz mówię o tym, co jest w tej książeczce.

Otworzyła torebkę i wyjęła cieniutką broszurkę.

— Zresztą mam ją przy sobie, bo nie chcę jej zostawiać w domu, żeby jej Paweł nie znalazł. Mogą mu wpaść różne rzeczy do głowy, o których nawet nie myślał. Może jest cofnięty w rozwoju, jeszcze nie wiem. O tym jest później.

— Czy tam są jakie wskazówki dla rodziców? — zainteresowałam się — to może byśmy sobie obejrzały.

— Są, są — matka Pawła zaczęła szybko kartkować broszurkę. — O, proszę. Trzeba rozwijać w dziecku zdolność samodzielnego myślenia, wyciągania wniosków i stosowania tych wniosków do własnego doświadczenia. Zrozumiała pani?

— Zrozumiałam — powiedziałam powoli i nalałam sobie

wina. — Bardzo słuszna uwaga. Trzeba.

— Czy mam *czytać* dalej?

— To już może nie — zaproponowałam i nalałam jej też.

— Tam jeszcze pisze o odmiennych płciach — zachęcała matka Pawła.

— Na to już nic nie poradzimy.

— Oni dają różne rady.

— Za późno — zamyśliłam się. — A zresztą może mi to pani zostawi, to ja sobie sama przestudiuję.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu.

— Jakby mu tak dać spokój — zaproponowałam po chwili — to może skończyłoby się tak jak z tym noszeniem na rękach, kiedy miał dwa miesiące. Za parę lat nikt nie będzie pamiętał, czy było dobrze, czy źle.

— Nie wiem, czy dożyję — powiedziała matka Pawła ponuro. — Ta wieczna wojna doprowadzi mnie do rozstroju nerwowego. Jak nie z nim, to z jego ojcem, a jak zrobię zawieszenie broni, to oni zaczynają się użerać między sobą.

— O co? — zdenerwowałam się.

— Ostatnio o fryzjera.

— Jak to?

— Co? Nie zauważyła pani, że Paweł ma na głowie duże jasne loki? Wygląda jak dziewczyna.

— Muszę mu się przyjrzeć.

— Oni się teraz nie strzygą. Niczego się tak nie boją jak fryzjera. Może powinni chodzić do damskich zakładów

— zamyśliła się nagle. — Tam mniej wygalają.

— Bo ja wiem? — przejechałam dłonią po swoim karku. — Ja z moim panem Kajetanem to wciąż walczę o to, żeby mi karku nie golił maszynką.

— Maszynką — oburzyła się matka Pawła — nie pozwalam dotykać. Okropnie brzydko odrasta. Mój pan Stanisław tylko nożyczkami podcina, nawet najkrótsze włoski za uszami. Mogę panią "polecić.

Atmosfera zaczęła się odprężyć.

— Kiedy ja będę teraz zapuszczać — ucieszyłam się.

— Pani łatwo, pani dzieci nie ma — powiedziała matka

Pawła enigmatycznie.

— Co ma jedno do drugiego?

— Ja dla siebie w ogóle czasu nie mam.

W butelce było jeszcze trochę wina.

Zadzzwoniło u drzwi. Otworzyłam. Wszedł mąż matki Pawła.

— Przepraszam — spojrzał na butelkę i kieliszki. Był zmęczony.

— Paweł już w łóżku? — spytała matka Pawła.

— W łazience — powiedział ojciec Pawła.

Nalałam mu dużą szklanę.

— Próbowałaś nawiązać kontakt? — spytała matka Pawła.

— Próbowałem.

— No i co?

Zaległo milczenie.

— Załatwiłeś co?

— Jutro pójdzie do fryzjera — powiedział ojciec Pawła nawet dosyć tryumfalnie.

— Jak to zrobiłeś? — spytała matka Pawła podejrzliwie.

— Powiedziałem, że w przeciwnym wypadku nie dostanie tygodniówki, zabronię mu iść na zabawę do Hoffmanowej i nie kupię mu w komisie pióra Watermana.

— Kosztuje trzysta złotych, zlituj się!

— Przecież powiedziałem, że mu nie kupię, więc się uspokój.

— Ale przecież powiedziałaś, że jutro idzie.

— Natomiast, jeżeli pójdzie z własnej, nieprzymuszonej woli i każe się przyzwoicie ostrzyć — mówił ojciec Pawła nie bez satysfakcji — to przyrzekłem mu moją kurtkę skórzaną i pieniądze na przeróbkę.

— Można mieć tylko nadzieję, że jutro fryzjerzy będą nieczynni — jęknęła matka Pawła.

— Założę się — ojciec Pawła wychylił swoje wino.

— Założę się, że jutro będzie ostrzyżony jak złoto. Ty to byś się tylko z nim awanturowała. Ja się teraz biorę do niego. Trzeba mieć jakieś zasady wychowawcze.

Wstał.

— No, to chyba już pójdziemy — powiedział stanowczym

tonem. — Widzi pani — zwrócił się do mnie

— kobiety to by wszystko improwizowały. Ja poszedłem do sklepu i kupiłem sobie podręcznik wychowania młodzieży. Trzeba rozwijać w dziecku zdolność samodzielnego myślenia, wyciągania wniosków i stosowania tych wniosków do własnego doświadczenia. Ot co!

EKG WYKAZĘ

— Paweł jest chory — powiedziała matka Pawła.

Stałyśmy na schodach w Teatrze Współczesnym i paliłyśmy papierosy.

— Tu palić nie wolno. Proszę zejść — powiedziała woźna zmęczonym głosem. Zeszłyśmy z trudem dwa stopnie niżej. Był straszny tłok.

— A co mu jest?

— Nie wiadomo. Leży.

— Był lekarz?

— Był. Kazał zrobić różne analizy, elektrokardiogram, prześwietlenie zatok, klatki piersiowej i parę innych rzeczy.

— To poważna sprawa — zaniepokoiłam się.

— Chyba nie. Tylko oni teraz kazań na wszelki wypadek.

— A co mu jest?

— Głowa go boli, brzuch go boli i oczy, i nawet płyt nie słucha.

— A to niedobrze.

— Tu palić nie wolno. Proszę zejść do palarni — powiedziała woźna zmęczonym głosem. Roztrąciłyśmy trzech panów, zeszłyśmy o stopień niżej.

— No właśnie. Póki go tylko bolała głowa, dawałam mu proszki, ale jak przestał słuchać płyt, to go położyłam do łóżka i wezwałam lekarza — powiedziała matka Pawła.

— Tego jeszcze nie było.

— Tu palić nie wolno — powiedziała woźna już zupełnie słabym głosem, ale w tej samej chwili zabrzmiał dzwonek i przerwa była skończona.

— Przed tygodniem miał nawet ochotę pójść ze mną do teatru — powiedziała matka Pawła — no, ale musiałam go zostawić. Bilet się zmarnował. Mąż, oczywiście, w terenie — dodała głucho.

Jak już było po wszystkim i gangster Arturo Ui pochował

jakichś dwunastu do czternastu obywateli miasta Chicago, rozpoczęły się zapasy w szatni, z których obydwie z matką Pawła wyszłyśmy zwycięsko, ale jako ostatnie.

— Niech pani wejdzie do mnie. Zrobimy herbatę — zaproponowała mi matka Pawła w windzie.

Otworzyła drzwi z wielkimi ostrożnościami, żeby nie zbudzić chorego. Gdy wchodziłyśmy na palcach, z pokoju chorego rozlegały się dźwięki czegoś, co do złudzenia przypominało koncert fortepianowy Mozarta. Stanęłyśmy jak wryte.

— To radio — szepnęła matka Pawła. — On takiej płyty nie ma, dam pani słowo honoru.

— Ale słucha — powiedziałam entuzjastycznym szeptem.

— On musi być chory — matka Pawła zrzuciła z siebie płaszcz i pobiegła do łazienki po termometr. — Jak jest zdrowy, to nienawidzi Mozarta.

— Może nie wie, że to Mozart?

Matka Pawła ostrożnie otworzyła drzwi od jego pokoju i muzyka w tej chwili ucichła.

Usiadłam na tapcznie i czekałam w napięciu. Po kwadransie matka Pawła wróciła, czerwona na twarzy.

— Ma siedem i dwa, to jednak temperatura — oświadczyła. — Do Mozarta się nie przyznaje. Mówi, że słuchał jakiejś audycji o meteorologii i że usnął, i że ten Mozart go zaskoczył.

— A czemu on tak nie lubi biednego Mozarta? — dowiadywałam się.

— Głównie dlatego, że ten był cudownym dzieckiem, że jak był w jego wieku, to już komponował i koncertował, i zarabiał, i pisał takie dorosłe listy. Szopena też nie lubi, ale woli, bo Szopen był już dorosły, jak zaczął na serio i w ogóle trudniej mu wszystko szło.

— Czy mogę do niego zajrzeć?

— Zapytam — matka Pawła poszła i wróciła po chwili, oświadczając, że mogę iść do chorego. Sama poszła robić herbatę do kuchni.

Stanęłam w progu pokoju Pawła i lekko zakręciło mi się w

głowie. Był to niewielki pokoik. Na wąskim łóżeczku leżał Paweł zakryty po oczy kołdrą. Na biurczku leżało jakie sto dwadzieścia zeszytów i podręczników szkolnych, zwalonych na kupę. Na stoliku pod oknem adapter i rzędy ustawionych w idealnym porządku płyt. Na podłodze leżały drelichowe spodnie, kilka koszul, pantofle tenisowe, para skórzanych butów, teczka, kilkadziesiąt książek, a na ścianie wisiała gitara oraz rakietka tenisowa. Pachniało wilgotną oponą.

— Halo — przywitaliśmy się.

— Naprawdę jesteś chory? — spytałam cicho.

Pokiwał głową, że tak.

— A co ci jest?

— Nic mi się nie chce — mruknął.

— Słaby jesteś?

— Nic mi się nie chce robić. Leżałbym tak.

— Boli cię co?

— Wszystko.

Milczeliśmy.

— Będziesz miał różne badania. Może się okaże, że jednak jesteś zdrowy. Może co wiosna.

Mruknął coś niewyraźnie.

— Wiesz, że przyjeżdża pewnie Miriam Makeba¹ — powiedziałam od niechcenia.

Poruszył się gwałtownie pod kołdrą. Myślałam, że ładnie, ale nie siadł.

— Jakbyś do tego czasu wyzdrowiał, może dostałabym dwa darmowe bilety — zełgałam. — Mógłbyś pójść z jakąś koleżanką.

Zasepił się okropnie.

— Nie mam z kim — powiedział wreszcie cicho, więc pożegnałam się i poszłam do kuchni.

Matka Pawła zrobiła już herbatę i naszykowała dla Pawła wyciśniętą cytrynę z miodem i wodą.

— Może mu to dobrze zrobi — powiedziała.

Pokiwałam z powątpiewaniem głową.

— Jeśli moja diagnoza jest słuszna — powiedziałam ze

¹ Murzyńska pieśniarka folklorystyczna.

smutkiem — to nic mu to nie pomoże.

Zatrzymała się zaniepokojona.

— Co pani myśli?

— Myślę, że jest zakochany — powiedziałam śmiało. Matka Pawła spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— I to bez wzajemności — dodałam szybko.

Matka Pawła była za dobrze wychowana, żeby machnąć na mnie ręką, poza tym trzymała oburącz tacę ze szklankami.

— Będą badania, zobaczymy — powiedziała wreszcie pobłażliwie. — No, ale chodźmy już do pokoju na herbatę.

TELEMIŁOŚĆ

Mieszkanie przemeblowaliśmy kilka razy. Wreszcie trzeba było tapczan ustawić pod samym oknem, chociaż trudno tam spać, bo pod nami akurat tramwaj zakręca, dokupiliśmy trzy stołeczki w Desie i pożycziliśmy kilkaset złotych od szwagra. Wszystko to z powodu telewizora, który nabyliśmy na raty, po dwuletnich dyskusjach i całym szeregu narad z przyjaciółmi i rodziną.

Ci, co mieli telewizor, namawiali, żeby nie kupować. Ci, co go nie mieli, namawiali na kupno. Kupiliśmy.

Pawła zaprosiłam na inauguracyjny wieczór. Usiedliśmy bardzo uroczyście, po ciemku, i ssaliśmy cukierki. Najpierw była jakaś audycja o stali, a potem jacyś panowie okropnie długo rozmawiali na temat wyrobu wędlin i narzekali, że za dużo jest w sklepach baleronu, a za mało zwyczajnej kielbasy. Byłam bardzo zdenerwowana, bo miałam nadzieję, że może dadzą tego „Zorro”, o którym tyle się ostatnio słyszy, i którego znak ozdabia zarówno mury chałup na Podkarpaciu, jak i ściany ubikacji w teatrach stołecznych.

Ale nic z tego nie wyszło, tylko wciąż mówili o tej wędlinie, a potem o tym, że neony na domach to plaga dla lokatorów. Jednym słowem wyglądało to wszystko razem na jeszcze jedną skrzynkę zażaleń, ale siedzieliśmy twardo, bo ostatecznie to strasznie dużo kosztuje i jak się będzie patrzyło ciurkiem, to nie przegapi się czegoś dobrego. Paweł siedział najpierw wyprostowany i sztywny, ale potem zaczął się zsuwać, aż w końcu opierał się na krześle kością ogonową, a nogi miał wysunięte pod sam telewizor. To na pewno szalenie niezdrowo na kręgosłup, ale dałam sobie słowo honoru jeszcze dwa lata temu, że nigdy nie powiem mu: „Trzymaj się prosto”.

Paweł ożywił się dopiero przy piosence na dobranoc, bo widocznie śpiewała jakaś gwiazda-jazzu.

— Przyjdiesz na „Zorro”? — spytałam, gdy zęgnął się z

nami.

— To dla dzieci — mruknął.

— Podobno dobre.

— Zresztą już skończyli z tym — dodał. — Niektóre odcinki były niezłe, ale w ogóle to bujda.

— Widziałeś?

— Pewnie. U kolegi.

— Ale może na „Kobrę” przyjdiesz?

— Chętnie, jak pani załatwi z matką, bo ona na pewno nie pozwoli.

— Spróbuję — przyrzekłam.

Nazajutrz spotkałam go na ulicy w towarzystwie trzech dziwnie ubranych młodzieńców. Byli znacznie starsi od niego i mieli na sobie kurtki przepasane grubymi, skórzanymi paskami, kołnierze podniesione do góry, spodnie przykrótkie i czerwone skarpetki. Mieli oprócz tego szalone ilości włosów i krosty. Zajmowali cały chodnik i ludzie schodzili im ostrożnie z drogi. Zobaczył mnie kątem oka, ale nie uklonił się.

Po południu przyszedł.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — odpowiedziałam.

Staliśmy długo. On przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Ja, po chwili, też.

Po jakichś pięciu minutach zlitowałam się.

— Co to byli za jedni? — spytałam.

— Żule — odpowiedział krótko.

— Koledzy?

— Nieee.

— Dlaczego się z nimi zadajesz?

— Człowiek musi — wytłumaczył.

— Dlaczego?

— Bo wtedy się nie czepiają, rozumie pani, i ma się spokój.

— Aha.

— Trzeba z nimi dobrze żyć — dodał. — I trzeba mieć zawsze przy sobie parę groszy, bo oni się bardzo denerwują, jak im potrzeba na piwo, a człowiek nie ma.

Zrozumiałam zaraz, o co chodzi,

— Na lemoniadę też — dorzucił jeszcze. — To całkiem dobre chłopak, tylko warunków nie mają.

— Nie znam się na tym — powiedziałam ostrożnie.

— Chyba wiesz, co robisz. Kiedy przyjdiesz na telewizję?

— Czy ja bym mógł kiedyś kogoś przyprowadzić?

— wyrzucił z siebie nagle jednym ciurkiem.

Przeraziłam się.

— Tych żulików? — spytałam cicho.

— Skąd? — oburzył się..— Dorotkę.

— Jaką Dorotkę?

Pocił się, aż mu krople stanęły na czole.

— Tę z przeciwka, pani wie.

— Zlituj się, przecież ona dopiero co w wózku jeździła.

— Jest w ósmej klasie i ma warkocze — szepnęła.

— A czy ona nie ma w domu telewizji? — próbowałam wygrać na czasie.

— Owszem, ale co z tego? — zapytał i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Rozumiem — powiedziałam. — Dobrze, możecie przyjść w sobotę po południu o piątej.

Zaczął gwałtownie wycierać ręce o spodnie i pożegnał się.

Zostałam sama w korytarzu i przysiadłam na krześle. Trzeba jednak słuchać przyjaciół, kiedy człowieka ostrzegają przed pewnymi inwestycjami.

Po dłuższym namyśle zadzwoniłam do bratowej i zaprosiłam na sobotę na podwieczorek jej córkę, uczennicę klasy ósmej. Potem zadzwoniłam do chrześniaka mojego męża, który jest na pierwszym roku medycyny, i zaprosiłam go wraz z koleżanką, z którą chodzi już trzeci miesiąc, na tęże sobotę na podwieczorek. Męża uprzedziłam, że będzie kupa dzieci w domu, i prosiłam, żeby umówił się z jakimś kolegą. Kupiłam mnóstwo ciastek, cukierków i prawdziwe kakao. Będziemy wszyscy razem patrzeć na „Teatr Wiolinek”.

DZISIEJSZA MŁODZIEŻ

— Wiedziałam, że to nastąpi — powiedziała matka Pawła. — Co za szczęście, że jego ojciec jest praktycznie poza domem.

— Co się stało? — zaniepokoiłam się. — Coś w szkole?

— Nie, wprost przeciwnie. Chodzi na prywatki

— westchnęła.

— No i co?

— Nic. Jeszcze nic.

— Nie rozumiem.

— Bo pani dzieci nie ma. I tak mam szczęście, że Paweł jest chłopcem — dodała filozoficznie.

— Owszem — zgodziłam się. — Ale czym się pani znowu przejmuje?

— Prywatki to początek końca — krzyknęła matka Pawła. — Ostrzegano mnie od dawna. Oni się schodzą, piją straszne wino malaga, za szesnaście złotych, potworne świństwo, grają jazz, palą papierosy, no i zabawiają się w gry towarzyskie.

— Za naszych czasów tego nie było — powiedziałam bardzo oryginalnie i zamyśliłam się.

Matka Pawła też się zamyśliła.

— Gdzie pani chodziła do szkoły? — spytała wreszcie.

— W Krakowie — odpowiedziałam w zadumie.

— Ja w Warszawie — westchnęła matka Pawła.

— Bywały wcale dobre wieczorki szkolne.

— U nas też.

— Tańczyło się.

— Pewnie.

— Wołałam prywatne przyjęcia.

— No pewnie.

— Gadało się dużo.

— Myśmy tańczyli i bawiliśmy się w fantowe gry

— przyznałam się.

— My też — zawołała matka Pawła. — Fanty wykupywało

się pocałunkami w korytarzu, a u jednej koleżanki była taka duża szafa, to się wchodziło do szafy.

— U nas całowaliśmy się tylko z chłopcami, z którymi chodziliśmy — przypominałam sobie nagle. — Wychodziło się, jak wypadło na obcego chłopaka, na korytarz i wracało się po chwili. Ale bez pocałunków. Jeden mnie raz mimo to pocałował, to dałam mu po nosie.

— Coś podobnego!

— Spotkałam go tu, niedawno, w teatrze. Jest łysy, ma wąsy i jest dyrektorem departamentu w Ministerstwie Wód i Kanałów. Był stasznym chuliganem.

— U nas takiej lipy nie było — powiedziała matka Pawła nie bez dumy. — Uważam to za pruderię.

— U nas też tak źle nie było. Nikt tam w końcu nie sprawdzał, co się -działo w korytarzu. Alkoholu się nie piło, ale co będę ukrywała przed panią, papierosy tośmy palili.

— U nas też — szepnęła matka Pawła. — Ja nawet okropnie nie lubiłam, ale mi nie wypadło nie palić. Może dlatego już później nigdy nie paliłam.

— Tango się tańczyło. Bardzo blisko.

— Teraz tańczą z daleka od siebie, jakby się bali oparzyć.

— Wszyscy mówią, że bardzo niedobra młodzież — zgodziłam się. — Czy Paweł chodzi na wagary? — spytałam nagle.

— Nie wiem — zaniepokoiła się matka Pawła.

— Niech pani powie, pani chyba coś wie.

— Nie, nic nie wiem, jak Boga kocham. Tylko chciałam wiedzieć, bo mnie wszystko interesuje, co dotyczy Pawła.

— Przecież on jest naprawdę porządny chłopak — zaczęła się tłumaczyć matka Pawła. — Dlaczego miałby od razu chodzić na wagary.

— Myśmy chodzili — powiedziałam śmiało i spojrzałam jej prosto w oczy.

— My też — matka Pawła oczy opuściła.

— Wiosną do parku, a zimą do kościoła ewangelickiego, skąd nas nikt nie wyganiał i gdzie były wygodne ławki.

— Myśmy mieli lepiej, bo mieliśmy mieszkanie jednej

koleżanki, gdzie nikogo nie było do czwartej, bo rodzice pracowali oboje — pochwaliła się matka Pawła.

— No to chyba nic pani Pawłowi nie powie, jak się okaże, że i on chodzi na wagary — powiedziałam śmiało.

— Zaraz widać, że pani bezdietna — powiedziała matka Pawła, nie bez zazdrości w głosie. — My, rodzice, zawsze chcemy, żeby nasze dzieci były lepsze od nas, i pragniemy im zaoszczędzić naszych złych doświadczeń.

— Ja bardzo lubiłam chodzić na wagary — przyznałam się.

— Ja też.

— A dobrze się pani uczyła?

— Średnio.

— A Paweł ma trzy czwórki na okres — pochwaliłam go.

— O, Paweł — powiedziała matka Pawła z dumą — ma piątkę z matematyki. Chyba pani mówiłam.

Zamilkłyśmy.

— Może by mu tak urządzić prywatkę w domu

— zaproponowałam — to byśmy zobaczyły, co się naprawdę dzieje.

— Za nic — oburzyła się matka Pawła. — Mąż by mnie zwymyślał i słusznie. Rozpustę w domu tolerować! Jak już ma takie rzeczy robić, to nie u mnie. Ostatecznie nie jest, na szczęście, dziewczynką.

Czasami myślę, że gdyby matka Pawła nie była matką Pawła, tobym się z nią nie zadawała.

— A czy Paweł chodzi z jakąś dziewczynką? — spytałam chytrze, bo byłam zła.

— Nic o tym nie wiem — powiedziała matka Pawła.

— Widuję go na ulicy, ale to' chyba są różne koleżanki szkolne. Pani wie, przy koedukacji to te rzeczy są normalne.

— No, ale nawet przy koedukacji tworzą się pary

— stwierdziłam fachowo.

— To by było okropne, żeby on już miał stałą panienkę. Przecież to jeszcze dziecko.

— Oni zmieniają co trzy tygodnie. — powiedziałam autorytatywnie.

— To dobrze — ucieszyła się matka Pawła. — Ale skąd pani

takie rzeczy wie?

— Wiem od mojej bratanicy, która przychodzi do mnie na telewizję. Nazywa się Anula.

— A Paweł ją zna?

— Poznał ją u mnie — potwierdziłam od niechcienia. Paweł jej się podoba? — zainteresowała się matka Pawła.

— Bardzo, szczególnie od czasu jak ma te nowe dzinsy, wie pani, z tym szerokim pasem na biodrach.

— Ładnie mu, prawda? — ucieszyła się matka Pawła.

— A co robią rodzice Anuli?

— On jest inżynierem na Żeraniu — spieszyłam się.

— W każdym razie to bardzo porządni ludzie. Dziecko czyste, porządnie ubrane, dyga.

— Dyga — ucieszyła się matka Pawła. — Coś podobnego. A czy Paweł zna ją już dłużej niż trzy tygodnie?

— Powiem pani szczerze — odezwałam się. — On ją zna chyba już z półtora miesiąca. Widzi pani, Paweł jest trochę inny niż jego koledzy.

— Boże — westchnęła głęboko matka Pawła. — Jak ja zazdroszczę rodzicom tej Anuli. Trafiała na Pawła. Na takiego chłopca. Mogą spokojnie spać. Proszę pani, jak im dać znać, że on nie jest chuligan?

PRZECIEŻ TO DZIEWCZYNKĄ

Narada rodzinna trwała bardzo długo, chociaż wynik wiadomy był z góry.

Brat z bratową zapowiedzieli się grobowym głosem na niedzielę na herbatę i kiedy wyszli około północy, po kolacji, przy której zjedliśmy wszystkie zapasy i wypiliśmy butelkę wina, sprawa była załatwiona. Bratowa idzie w czwartek na badania do szpitala, a w piątek rano brat przywiezie Anulę, ich córkę, do nas na mieszkanie.

Badania bratowej mają trwać kilka tygodni, bo w ogóle nie wiadomo, *cl* jej jest. Mój brat pracuje w fabryce samochodów i bardzo rzadko przychodzi do domu pomieszkać. Zgodziliśmy się przyjąć Anulę do siebie na ochotnika, chórem, z entuzjazmem.

Oni bronili się bardzo usilnie. My nalegaliśmy coraz bardziej.

Oni mówili, że to nie ma sensu i że się zamęczymy. Myśmy mówili, że jesteśmy bezdzietni, chociaż oni o tym dobrze wiedzą, i że zawsze marzyliśmy.

Oni mówili, że się nie pomieścimy w tych dwóch małych pokojkach. My mówiliśmy, że nie tak ludzie mieszkają i że krew nie woda.

Oni mówili, że dziecko wychować to nie takie proste i że Anula jest bardzo trudna. Myśmy mówili, że dla nas to prawdziwa przyjemność i że miesiąc to nie całe życie.

Oni mówili, że ona jest niemożliwa, że trzeba pilnować, żeby odrobiła lekcje, żeby się nie włóczyła i żeby nie nosiła stylonów bez szwów. Myśmy mówili, że ostatecznie jak przez miesiąc lekcji nie odrobi, to nie będzie nieszczęścia.

Na to moja bratowa zaczęła płakać i powiedziała, że woli umrzeć.

Na to mój mąż przyrzekł, że będzie pisał wypracowania, a ja, że będę sprawdzać matematykę.

Na to mój brat zaczął się śmiać i zapytał, czy ja sobie zdaję

sprawę, co to jest w dzisiejszych czasach matematyka w ósmej klasie.

Na to mój mąż się podniósł i powiedział, że sam, osobiście, będzie sprawdzał matematykę z ósmej klasy. Dałam słowo honoru, że będę surowa, stanowcza, nieustępliwa, że będę karała, pilnowała, hartowała, sprawdzała i matkowała. Zapewniłam rodziców, że potrafię być bezkompromisowa, szczególnie dla dziewczynek.

Na to bratowa powiedziała, że Anula ma kryształowe serce i że jest złotym dzieckiem, szczególnie w porównaniu ze swoją najlepszą przyjaciółką, Hanią, która wywiera na nią jak najgorszy wpływ, i że byłoby bardzo dobrze, żeby ona przez ten czas, co będzie u nas, wcale się z tą Hanią nie widywała. A mój brat dodał, że nie należy być zbyt surowym dla Anuli, bo ona jest bardzo subtelna, i że jego zdaniem, jakby się jej dało święty spokój, toby odrabiała lekcje i myśla uszy, i w ogóle zachowywała się bez zarzutu, tylko że matka za dużo od niej wymaga, a to wywołuje reakcję. I że w ogóle Anula byłaby idealnym stworzeniem, gdyby nie ten Kazio z drugiego piętra, który ciągle wystaje w bramie i odprowadza ją na lekcje muzyki, i że byłoby najlepiej, żeby ona przez ten czas, co będzie mieszkała z nami, tego Kazia wcale nie widywała.

Przyrzekliśmy to wszystko zrobić i po bardzo źle przespanej nocy poszliśmy kupić łóżko połowę do sklepu sportowego, gdzie mój mąż zaraz chciał kupić piękny czerwony namiot i sprzęt sportowy. Skończyło się na łóżku i na kuchence połowej, składanej, czeskiej, na paliwo w pigułkach. Paliwo ma nadejść nieco później.

Po południu zaczęliśmy przemeblowywać mieszkanie.

Zadzwoiłam na górę do matki Pawła i spytałam, czy Paweł nie mógłby przyjść na chwilę pomóc, bo mój mąż, kiedy dźwiga meble, często dostaje lumbago. Matka Pawła powiedziała trochę ironicznie, że Paweł pewnie zaraz ochoczo do nas poleci, ale że kiedy prosiła go w niedzielę, żeby jej zdjął z pawlacza walizkę z letnimi rzeczami, to oczywiście nie miał czasu. Zaofiarowałam zaraz swojego męża, ale ona powiedziała, że dziękuje, bo już sobie sama zdjęła walizkę i że ją właśnie coś w

krzyżu łamie. Przyrzekłam przesłać przez Pawła taką maść z apteki homeopatycznej, co bardzo pomaga mojemu mężowi, i nic nie powiedziałam o zmianach w naszym życiu, bo wiedziałam, że to będzie zaraz rozmowa na godzinę, a chciałam się wziąć do roboty.

Po jakich dwóch minutach zjawił się Paweł.

— Przerabiamy chatę — rzuciłam, ale szybko ugryzłam się w język, bo to zabrzmiało okropnie. MAŻ spojrzał na mnie straszonym wzrokiem.

— Hm — mruknął Paweł i prawie że się uśmiechnął.

Podsunęliśmy wspólnymi siłami mały dywanik pod nogi biurka mojego męża i zaczęliśmy ciągnąć biurko do sypialni. Jest to świetny sposób, bo nie rysuje się w ten sposób podłogi. Rzeczywiście podłogi nie porysowaliśmy, za to zostały na niej dość paskudne ślady traktorowych podeszew Pawła.

Mąż, wciąż milczący, patrzył na te ślady nie bez satysfakcji, ale i z pewną dozą zawiści. Sam był w kapciach.

Paweł na ochotnika podniósł jedną ręką fotel zza biurka, wyrzucił nim w lampę i przeniósł do sypialni. Lampie nic się nie stało. To jest świetny chłopiec. Biurko na rozkaz męża ustawiliśmy pod oknem.

— Okna nie będzie można otwierać — odezwał się Paweł.

— Oberluft wystarczy — warknął mąż.

Oczyszcziliśmy całą sekcję naszej półki na książki. Książki przenieśliśmy do sypialni i położyliśmy pod biurkiem.

Przypomniało mi się, że nawet nie powiedziałam Pawłowi, dlaczego to całe zamieszanie, ale on nie pytał.

— Będzie u nas mieszkać jedna mała dziewczynka

— powiedziałam.

— Z ósmej klasy — wyjaśnił mąż, uginając się pod Wielką Encyklopedią Radziecką.

Paweł podniósł ramiona w górę, ale natychmiast opuścił je z powrotem.

— A gdzie będzie telewizja? — zapytał po chwili.

— Zostanie tu, bo w naszym pokoju już miejsca nie ma — zdecydowałam.

— Moglibyśmy wziąć na górę — zaofiarował się. Oczy mi

zabłysły.

— Dziękuję — zadyszał mój mąż — jakoś sobie poradzimy.

— Opróżniał drugą półkę.

— To będzie na bieliznę — przysiadł na krześle i otarł pot z czoła. — Przybiję firaneczkę pinezkami.

Paweł miał coraz bardziej zmarszczone czoło. Pomógł nam jeszcze przesunąć tapczan w sypialni i rozstawić łóżko połowę koło telewizora. Potem zabrałam Pawła do kuchni, która wydawała się nagle najpiękniejszym pomieszczeniem w naszym mieszkaniu.

Bez pytania odgrzałam mu placki z jabłkami, polałam śmietanką i postawiłam przed nim.

— Kuję — powiedział pod nosem. Pomyślałam, że jak . będzie Anula, to nie będę go mogła tak podkarmiać w kuchni i że pewnie musiałby wtedy umyć przed jedzeniem ręce, nie mówiąc już o tym, że ona będzie musiała myć przed jedzeniem ręce. Przysiadłam na zydełku kuchennym i patrzyłam przez okno. Gołębie robiły swoje.

— Na stałe? — odezwał się Paweł z pełnymi ustami.

— Ależ skąd! Na kilka tygodni — uspokoiliam go.

— Może się zaprzyjaźnicie.

Zakrztusił się i zakaszał, trzeba mu było dać wody.

— O n a ma warkocze — powiedziałam po pewnym czasie, chociaż pewna nie jestem, bo widziałam ją ostatni raz przed dwoma tygodniami. Wtedy jeszcze miała.

Zakrztusił się znowu i znowu kaszał, ale tym razem to bym przysięgła, że się też śmiał. Trzasnęłam go porządnie w plecy i przestał.

— Ja się nic nie znam na dziewczynach — powiedziałam w końcu z westchnieniem. — Myślałam, że może mi pomożesz.

— A jak pani była młoda... — zaczął, ale zaraz zamilkł.

Posiedzieliśmy chwilę.

— Będę miał bardzo dużo roboty. Koniec roku — powiedział Paweł już w drzwiach.

— Przychodź na telewizję — krzyknęłam za nim, ale nie wiem, czy mnie słyszał. Biegł po schodach jak szalony, po trzy stopnie na raz i zahaczając obcasami. — I przyjdź jutro po

szkole na racuchy. Ona wprowadzi się dopiero w piątek.

Wróciłam do swojego zrujnowanego pokoju. Męża zastałam na ziemi. Siedział i żyletką wycinał z atlasu botanicznego kolorowe plansze.

— Oprawię to jutro — powiedział — i powieszę zamiast tych sztychów i map. Przecież to dziewczynka.

RÓŻNICA PŁCI

Próbowałam się dostać do łazienki po raz trzeci. Robiłam to dyskretnie, naciskałam ostrożnie klamkę. Ale Anula wciąż siedziała tam murem. Nashuchiwałam. Woda nie leciała, więc chyba się nie myła. Nie słychać było, żeby szorowała zęby. Panowała cisza.

Mąż wyszedł z pokoju w płaszczu deszczowym nałożonym na pidżamę, starannie przyczesany, i też chciał wejść do łazienki. Podrapał się w plecy i wszedł do kuchni.

— Czy ona tam już długo? — szepnął.

— Bardzo długo — odpowiedziałam również szeptem.

— Co ona tam robi?

— Pojęcia nie mam.

— Czy jak miałaś piętnaście lat to też byłaś taka?

— ziewnął.

— U nas nie było łazienki. Dlaczego chodzisz po mieszkaniu w płaszczu?

— Bo nie mam szlafroka — ziewnął szerzej.

— Nigdy nie miałaś szlafroka — zdziwiłam się.

— Nigdy nie miałem małej dziewczynki w domu

— warknął.

Drzwi od łazienki otworzyły się wreszcie i wyszła Anula w dziwnym stroju. Miała na sobie krótkie spodenki, wystrzępione na dole, i bluzę. Wszystko z płócien- .ka w groszki.

— Czy chodzisz w tym do szkoły? — spytał mąż.

— Dzień dobry, wujku — zaszcebiotała Anulka.

— Ależ skąd. To jest pidżama letnia. Wujek nie wie? Do szkoły idę, jak zwykle, w granatowym fartuchu z tarczą.

Skorzystałam z zamieszania i wpadłam do łazienki, gdzie zamknęłam się na klucz. Odetchnęłam. Byłam na chwilę sama. W łazience pachniało wodą kwiatową i pudrem. W umywalce było pełno jasnych włosów Anuli. Jej szczotka do zębów leżała na półeczce. Pasta do zębów była wyciśnięta w samym środku,

rozmazana na kafelkach ściany, nakrętki nigdzie nie mogłam znaleźć. Pewnie wpadła do rury i trzeba będzie wzywać ludzi i rozkręcać kolanko. Zaczęłam szybko sprzątać, żeby mąż nie zobaczył pobojojiska.

Już dobijał się do drzwi.

— Spóźnię się do roboty — wołał zły. — Co to się tu teraz dzieje.

Wpuściłam go i szybko wróciłam do kuchni.

Anula wpadła po chwili, porwała paczkę z drugim śniadaniem i chciała mi prysnąć.

— Kakao! — wrzasnęłam. — Bułka z miodem! Witaminy!

Chwyciłam ją za poły płaszcza.

Wyrwała mi się i zbiegła jak strzała ze schodów. Przechyliłam się bezsilnie przez poręcz.

— Co ty masz na głowie! — wrzasnęłam za nią.

Miała z tyłu spiętrzone wszystkie swoje jasne włosy w olbrzymi kok. Wyglądało to, jakby sobie podłożyła jako podkład jasiek.

— Matka kazała, żebyś plotła warkocze — zawołałam jeszcze. — A ty idziesz do szkoły z tym wodogłowiem.

W tej samej chwili ukazał się na schodach Paweł. Spojrzał na mój szlafrok i uklonił się uprzejmie.

— Cześć — powiedziałam i zebrałam poły szlafroka.

— Czy widziałeś, jak ta dziewczyna się czesze?

— Nie widziałem — mruknął i przyglądał własne starannie ułożone na czole i jeszcze mokre grajcarki.

— Ech — zdenerwowałam się i wróciłam do kuchni.

— Będziesz pił kakao? — spytałam męża z nadzieją w sercu.

— Nie będę — powiedział z za wczorajszej „Trybuny Ludu” i wyciągnął rękę po filiżankę. Podstawiłam mu kubek z kakao i czekałam, co będzie. Wypił jednym haustem, bo było letnie, i nawet nie zauważył. Czytał o reformie szkolnictwa.

Podsunęłam mu bułkę z miodem. Ugryzł i otrząsnął się.

— Co, u licha, dajesz mi dziś na śniadanie? — zirytował się. Wyjrzał znad gazety i spojrzał na mnie nagle uważnie.

— Mogłabyś coś zrobić z włosami — zauważył.

— Może byś poszła do dobrego fryzjera i poradziłybyś się.

Kolor jakiś nijaki i... bo ja wiem.

Wziął drugie śniadanie i wyszedł.

Poszłam ślać. Łóżko Anuli było rozgrzebane w sposób niesamowity. Pod kołdrą znalazłam tom opowiadań Hemingwaya, co mi szalenie zaimponowało, lusterko kieszonkowe, lekko nadgryzione, kawałek grzebienia, papierki od kilkunastu „krówek” i pilnik do paznokci. Pod łóżkiem była bańka lakieru do włosów. Umieściłam to wszystko na półeczce, a gdy skończyłam sprzątać, usiadłam przed lustrem w sypialni i zaczęłam się sobie przyglądać. Uczesałam się w kok, ale mały, bo mi włosów nie starczyło, i nasyciłam to wszystko lakierem. Coś obrzydliwego. Lakier odłożyłam na półeczkę Anuli.

Po pierwszym może skoczę do jakiego zakładu kosmetycznego.

Nastawiłam mięso na rosół i poszłam do szpitala do matki Anuli. Po drodze kupiłam szynkę, słoik kompotu z wisien i pęczek bratków.

Matka Anuli leżała nawet dosyć wygodnie w łóżku i czytała „Przekrój”, ale jak weszłam, zaraz się zaniepokoiła o Anulę.

— Czy ona je pierwsze śniadanie i czy zabiera drugie, i czy bierze witaminy, i czy gasi światło o dziewiątej trzydzieści, i czy szczotkuje włosy, i czy myje zęby.

Powiedziałam bez wahania, że tak, owszem, wszystkie te rzeczy robi i że wcale nam nie przeszkadza, i że jest idealnym dzieckiem. I jeszcze dodałam, że odrabia lekcje i bardzo rzadko patrzy na telewizję i że godzinami czyta.

Ostatecznie kobieta, która jest na badaniach w szpitalu, musi mieć święty spokój.

— Czy zaczęli już badania? — zapytałam z nadzieją w sercu.

— Dziś rano brali krew — powiedziała matka Anuli i westchnęła dodając: — Zawsze mówiłam, że nie trzeba chodzić do lekarzy, jak się nie ma przedtem diagnozy. Czuję się fatalnie.

— Od tego ciągłego brania krwi można wpaść w anemię — wtrąciła się kobieta z sąsiedniego łóżka.

— To oni potem dają transfuzję — powiedziała staruszka, co leżała obok.

— Grunt to sonda. Bez sondy oni nic nie wiedzą
— powiedziała sąsiadka. — U mnie, jak zaczęli sondować, to dopiero znaleźli różne rzeczy.

Pożegnałam się cichutko i dyskretnie i wyszłam szybko. Musiałam wziąć taksówkę, bo bałam się, że mi się mięso przypaliło.

Przed drzwiami mieszkania stała, już Anula z jakąś drugą dziewczynką.

— Bardzo cię przepraszam — krzyknęłam — ale byłam u twojej mamy. Przedstaw mi koleżankę.

— Hania — powiedziała Anula. Hania dygnęła. Miała duży biust i pantofelki na szpilkach.

— Czy ciocia mogłaby nam dać parę złotych na cocktail? — spytała Anula uprzejmie.

— Ile? — spytałam.

— Z piętnaście złotych wystarczy. Mleczny — dodała

— niech się ciocia tak nie patrzy.

Wysupłałam piętnaście złotych z portmonetki.

Dziewczynki dygnęły i runęły ze schodów, pozostawiając teczki pod drzwiami.

Otworzyłam drzwi z klucza i przysiadłam w przedpokoju na zydelku. Ogarnęła mnie chandra. Rosół pachniał podejrzenie. Poszłam zmęczonym krokiem do kuchni i dolałam wody w samą porę. Mięso było twarde jak licho.

Stałam tak, w czapce na głowie i w płaszczu, i mieszałam powoli i mechanicznie drewnianą łyżką w garnku, chociaż przecież rosółu się nie miesza, kiedy usłyszałam za plecami czyjeś chrząknięcie. Odwróciłam się gwałtownie.

W progu stał Paweł. Trzymał dwie teczki, worek z książkami i gitarę.

— Zostawiłam drzwi otwarte! — krzyknęłam. — I teczki dziewcząt w sieni. Bardzo ci dziękuję. Jesteś aniołem.

Zarumienił się po nasadę włosów.

Położył teczki na ziemię.

— Może chcesz cocktail? — zawołałam. — Mleczny!

— Dlaczego nie? — potwierdził.

— Masz tu siedem pięćdziesiąt.

— To za dużo — mruknął.

— A ile kosztuje?

— Dwa pięćdziesiąt.

Oddal mi pięć złotych.

— Cześć — powiedziałam -za nim. Zawsze wiedziałam, że jest różnica płci.

WODA DESZCZOWA

– Zjadłbym coś – powiedział mąż około północy.

– Weź_f sobie chleba z masłem – zaproponowałam.

Siedliśmy w kuchni pod oknem i czytaliśmy. Anula, po dłuższych posiedzeniach w łazience i przed lustrem w przedpokoju, poszła spać o jedenastej i baliśmy się dziecku przeszkadzać.

Mąż otworzył spiżarkę.

– Jest szynka – ucieszył się.

– To dla dziecka na śniadanie – powiedziałam pośpiesznie.

– A ten kawałek sera?

– To dla dziecka na drugie śniadanie.

– Zjadłbym coś – powiedział twardo.

– Jest dżem agrestowy.

Otrząsnął się.

– Dżem agrestowy w nocy!

– Ona też bardzo nie lubi dżemu agrestowego. Dlatego jeszcze jest.

– Czy myśmy też tyle jedli, jak byliśmy w jej wieku? – mąż nasmarował sobie kromkę chleba margaryną, bo boi się cholesterolu, i nalał sobie szklankę mleka.

– Na czym ja jej zrobię kakao? – zdenerwowałam się.

– Na wodzie – powiedział mąż sucho.

– Ona rośnie – stwierdziłam i westchnęłam.

– Może ona ma solitera – zawołał mąż, nagle olśniony zupełnie nowym pomysłem.

– Moja matka też zawsze tak mówiła – stwierdziłam.

– Ale, słuchaj, czy ty masz może jakieś pieniądze?

– Prawie żadnych – ząkrztusił się.

– Bo wszystko wyszło.

– To może byśmy nareszcie zaczęli jeść zapasy – uniósł się.

– Robiłaś konfitury. Robiłaś marynaty. Kupowałaś jakieś zielone groszki, żeby były w razie czego. Kupowałaś jakieś

pomidory w paście, żeby były w razie gości. Na kiedy to ma być.

— To już wszystko poszło — na dowód prawdy otworzyłam szeroko spizarnię. — Proszę. Wczoraj na kolację zjadła ostatni słoik konfitur z moreli, który podarowała nam jej własna matka. — Z naleśnikami — dodałam, kiedy spojrzał na mnie niedowierzająco.

— A propos, a jak jej matka się czuje?

— Badania w szpitalu trwają. Oni tak od razu wszystkiego wiedzieć nie mogą, co człowiek ma w środku. Zresztą mówiłam ci, że jeszcze nie było sondy, a bez sondy oni teraz nic nie mówią.

Poszłam się umyć i kiedy wychodziłam z łazienki, zauważyłam, jak mąż cichutko odwijają paczuszkę z szynką i wyjmuję plasterek.

Udałam, że nie widzę. Ostatecznie całą pensję do domu przynosi, nie pije, nie pali i ma lekki chód, tak że prawie nie zdziera obcasów.

Nazajutrz lało od rana. Około pierwszej po południu wpadłam szybko do domu z siatką pełną zakupów i chciałam zaraz nastawić włoszczyznę na zupę. Otworzyłam szafkę kuchenną, ale nie było ani jednego większego garnka, tylko dwa małe rondelki, w których gotuje się jajka i odgrzewa resztki z obiadu na kolację. Przysiadłam na zydelku kuchennym i zaczęłam rozmyślać. Kto by mógł się połakomić na moje garnki. Zdecydowałam iść do sypialni i zajrzeć do bielizniarki, gdzie pod prześcieradłem leży pudełko z pierścieniem na czarną godzinę, odziedziczonym po jednej ciotce, a którego „oczko” uchodzi w rodzinie od lat za prawdziwy rubin, co boimy się zresztą sprawdzić u jubilera.

Zanim doszłam do bielizniarki, natknęłam się na Anulę i jeszcze jedną dziewczynkę. Tę Hanię z biustem.

Stały w otwartym szeroko oknie, nieco wychylone. Deszcz lał im się na włosy.

— Co wy robicie? — krzyknęłam. — Dzień dobry. Dziewczynki wsunęły się do pokoju i dygnęły. Na podłodze były dwie niewielkie kałuże.

— Łapiemy wodę, proszę cioci — powiedziała Anula uprzejmie.

— A co, wody ma znowu nie być? — zdziwiłam się.

— To lepiej napuścić do wanny.

— Nie, nie, my łapiemy deszczową do mycia głowy — uśmiechnęła się Anula pobłaźliwie. — Dla cioci możemy też nałapać, to cioci włosom dobrze zrobi.

— Nie ma jak woda deszczowa na włosy — zaćwierkała Hania.

Podeszłam do okna. Na parapecie stały moje garnki. Wyglądało, że za chwilę spadną komuś na głowę.

— Dlaczego tak się wychylacie? Jesteście całe mokre.

— Bo woda deszczowa to jedyna rzecz na świecie na cerę — powiedziała Anula. — Niech ciocia się wychyli i nastawi twarz. Zaraz ciocia zobaczy, jak to dobrze robi na zmarszczki.

— Mnie potrzebny jest garnek na zupę — powiedziałam stanowczym głosem. — Inaczej nie będzie obiadu.

— To nie szkodzi, jeżeli chodzi o mnie — powiedziała Anula.

— Bo ja się i tak muszę odchudzać. Bluzka mi pęka.

— Dlaczego nie jesteście w szkole? — zirytowałam się.

— Matury — powiedziała koleżanka prędko.

— Ile dni trwają u was te matury? — zdziwiłam się na wszelki wypadek.

Zarumieniły się obydwie i szybko wychyliły się znowu przez okno.

Anula z żalem wylała zawartość jednego z garnków do drugiego i wręczyła mi go.

— Czy ciocia nie mogłaby ugotować kawałka mięsa dla mnie. To bym zjadła bez sosu. Zaczęłam tyć i to nie wszędzie, tylko w niektórych miejscach. I to od czasu jak u cioci mieszkam.

— Bo ciocia mi tak dogadza — dorzuciła szybko, kiedy zobaczyła moją minę.

— Pewnie będziesz miała mutację głosu jak Paweł. — powiedziałam i dopiero w kuchni zorientowałam się, że bredzę.

Wlazły do łazienki, zamknęły się i słychać było tylko plusk wody i chichoty.

Wyszłam z siatką kupić kawał mięsa z młodych wołów w celofanie. Dokupiłam też śmietany i chrzanu na sos i kiedy zobaczyłam w lodówce w SAM-ie lody „Bambino”, nie mogłam się oprzeć i kupiłam kilka sztuk. Wracając do domu, odwinęłam jeden i zaczęłam lizać. Pociągnęłam się też za ucho, bo to były pierwsze lody „Bambino” w tym roku.

Kiedy wchodziłam po schodach, bo winda jest zepsuta, usłyszałam, że drzwi od naszego mieszkania gwałtownie trzaskają i ktoś wypada i pędzi na górę. Przechyliłam się przez poręcz, schodów, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Paweł z wielkim pustym garnkiem pędził, biorąc po trzy stopnie naraz. Zatrzymałam się dyskretnie i dopiero kiedy usłyszałam, że drzwi jego mieszkania zatrasnęły się, poszłam do siebie.

Panny wciąż jeszcze były w łazience. Nastawiłam mięso i włożyłam lody do termosu.

Po kwadransie dziewczyny wyszły z łazienki. Miały włosy nakręcone na wałki z ligniny, były buraczkowe na twarzy i miały zupełnie mokre bluzki.

— Czy ciocia nie dałaby czegoś do zjedzenia? — zapytała Anula dość nieśmiało. — Bo jesteśmy okropnie głodne.

— Owszem — zgodziłam się — zaraz. Ale czy tu był kto przed chwilą?

Otworzę im tę puszkę pasztetu z dziczyzny, którą mam w szufladzie z pończochami, z lewej strony.

— Paweł — powiedziała Anula od niechcienia.

— Przyniósł nam wody deszczowej, bo nam zabrakło do płukania.

— A skąd on miał wodę deszczową? — spytałam zupełnie spokojnie.

— Zamówiłam u niego rano, kiedy szliśmy do szkoły — odpowiedziała Anula. — To może my teraz, ciociu, zaczniemy odrabiać lekcje, dobrze?

— Dobrze — powiedziałam — a ja wam zaraz przyniosę kanapki.

Zaniosłam im po pięć kromek chleba z masłem. Pasztetu nie dam. Ostatecznie dla mężczyzn też musi coś być w domu.

LOREN CZY BARDOT

Była sobota wieczór, a cisza w domu była wprost straszna. Siedzieliśmy z mężem, po śmiałych próbach patrzenia na telewizję, w fotelach i czytaliśmy. Od czasu do czasu patrzyliśmy chyłkiem na zegarki.

— Która u ciebie? — zapytał wreszcie mąż.

— Dziewiąta cztery — odpowiedziałam.

— Dziewiąta sześć — odpowiedział — mój chodzi według radia.

— To wcześniej — powiedziałam bez przekonania.

— Jak to wcześniej? Dwie minuty później.

— Nie o to mi chodzi.

— Mogłabyś się tak nie denerwować.

— Ja się nie denerwuję. Powiedziała, że wróci koło dziewiątej.

Mąż wstał, podszedł do telefonu i wykręcił 06.

— Jest dziewiąta sześć — oświadczył z tryumfem.

— No widzisz, że mój chodzi dobrze — ucieszyłam się.

— Kiedy minęły już dwie minuty. Spójrz teraz na zegarek.

— Znowu niedobrze. Dziewiąta osiem.

— Z kobietami nie warto gadać o takich rzeczach. Dokąd

Anula poszła?

— Jak to dokąd? Do koleżanki.

— Jak się nazywa ta koleżanka?

— Hania.

— No i?

— I nic.

— A kim jest jej ojciec?

— Pojęcia nie mam.

— A wiesz chociaż, gdzie mieszka?

— Owszem — oburzyłam się. — Na Świerczewskiego.

— Numer?

— Numeru nie znam.

— Potworna lekkomyślność — warknął i zaczął maszerować po pokoju.

— Ona zaraz wróci — powiedziała bez przekonania.

— Przeszkadzasz mi w czytaniu — powiedział mąż, wbił się w fotel i zakrył się gazetą.

Cisza była nie do zniesienia. Widocznie mają rację ci, co twierdzą, że trzeba mieć co najmniej dwoje dzieci.

Wstałani i podeszłam do okna.

— Nie bądź taka nerwowa — powiedział mąż.

— Zdawało mi się, że pada.

— Nie pada. Wspaniałe gwiazdy i księżyc. — Wstał i ruszył w stronę drzwi. — Wyjdę zobaczyć, czy sputników nie ma.

— To ja też — krzyknęłam ochoczo. — Mogę wziąć lornetkę.

— Uspokój się. Ostatecznie to nie nasze dziecko.

— Właśnie dlatego — powiedziałm szlachetnie.

Wyszliśmy na ulicę. Pachniały lipy. Sąsiadka z dołu spuszczała ze smyczy małego ratlerka, co podgryza łydki. Z balkonu na pierwszym piętrze nakapało nam na głowę, bo polewali pelargonie. Przed bramą maszerowała matka Pawła. Była rozczochrana i miała bluzkę zapiętą krzywo.

— Cześć — powiedziałam odruchowo.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Piękna noc.

— Jak Paweł? — spytałam.

— Właśnie czekam na niego. Już wpół do dziesiątej — powiedziała patrząc w głąb ulicy.

— Dokąd poszedł?

— Do kolegi.

— A jak się nazywa ten kolega? — zapytał mój mąż od niechcienia, patrząc przy tym na mnie. Wychowywał mnie.

— Zdaje się, że Kazio albo Zbyszek, trudno mi było usłyszeć, jak się umawiał przez telefon — tłumaczyła się matka Pawła.

— A czemu go pani nie spytała? — rzucił mąż stanowczym tonem.

— Panie kochany! — krzyknęła matka Pawła. — Widać, że pan synów nie ma. Wiem, że włożył czystą koszulę, bo zajrzałam do brudów, i chyba się golił starą żyłką ojca, bo znalazłam takie drobne włoski w umywalni. Ręce też mył, bo

ręcznik leżał na ziemi i był wilgotny, więc myślę, że pewnie poszedł na prywatkę. Buty czyścił — zamyśliła się.

— Ojcowie są konieczni — stwierdził mąż.

— Tak — westchnęła matka Pawła. — Jak mój mąż wraca czasami z terenu do domu, to są takie awantury, że nie ma pan pojęcia.

— No i co?

— Potem znowu wyjeżdża.

Wszyscy troje zaczęliśmy się przechadzać. Trzy domy w jedną stronę, trzy domy w drugą.

— Piękna noc — powiedziałam. Byli obydwójce tak zamyśleni, że nie odpowiedzieli.

— Państwo tak dla zdrowia spacerują? — odezwała się po dłuższej chwili matka Pawła.

— Dla zdrowia — mruknął mój mąż — iw ogóle.

— Boże — westchnęła matka Pawła. — Żeby człowiek mógł być choć czasami bezdzietny.

— No — odpowiedział mąż.

— Która godzina? — spytała matka Pawła i spojrzała na zegarek.

— Dziewiąta trzydzieści dwie — odpowiedział mąż i rzucił mi surowe spojrzenie. Na moim zegarku było, oczywiście, dwie minuty później, ale nie zamierzałam wszczynać nowej awantury.

Ratlerek sąsiadki podbiegł i zaczął nas obwąchiwać. Stanęliśmy spokojnie, na wszelki wypadek.

— Dobry piesek — powiedziała matka Pawła bez przekonania.

Warknął krótko.

— Felka, pójdziesz czy nie? — wrzasnęła właścicielka psa.

Felka wahała dokładnie lewą podeszwę buta mojego męża i nie zwracała na swoją panią uwagi.

— Z psami też jest dużo kłopotu — stwierdziła matka Pawła.

Właścicielka przybiegła ze smyczą i przypięła ją warczącej Felce. Odetchnęliśmy.

— Mam z nią rzeczywiście boskie skaranie — oświadczyła.

— Ale to kochany piesek. Państwo tak dla zdrowia tylko

spacerują?

— Dla zdrowia — powiedziała matka Pawła stanowczo. — Jak się nie ma psa, to można tak sobie spacerować, kiedy się ma ochotę.

— Rzeczywiście — westchnęła właścicielka Felki.

— Od czasu jak mam Felkę, to chodzę tak trzy razy dziennie w deszcz, śnieg czy zawieruchę. Żeby to człowiek mógł wszystko z góry przewidzieć. Chwilka decyzji i potem lata zawracania głowy.

— Oj tak — powiedzieliśmy wszyscy z przekonaniem.

— Anula! — krzyknął mój mąż wielkim głosem.

Rzeczywiście, szła od przystanku autobusowego, wolnym krokiem, z podniesioną głową i patrzyła przed siebie, jakby była czymś zamroczona. Nie usłyszała wołania.

— Ona piła — szepnął mi mąż do ucha.

Staliśmy zastygłi i patrzyliśmy w przerażeniu, jak zbliżała się powoli. Nawet ratlerka Felka niczego nie obwąchiwała.

Anula minęła nas i majestatycznym krokiem weszła do bramy.

Pożegnaliśmy się i pospiesznie poszliśmy za nią. Dogoniliśmy ją pod drzwiami mieszkania, gdzie czekała.

— Dobry wieczór — powiedzieliśmy nieśmiało.

Oprzytomiała od razu.

— Dobry wieczór ciociu, dobry wieczór wujku — nawet dygnęła. Wyciągnęła szybko chusteczkę z kieszeni i zaczęła sobie wycierać usta.,

— Zostaw to wszystko i chodź ze mną do łazienki

— powiedziałam ostro.

Mąż wzruszył ramionami i poszedł do pokoju.

W łazience przyjrzałam się Anuli. Miała oczy zrobione na gwiazdę niemego filmu, ogromne, namalowane usta, a całą twarz zapudrowaną na białło.

Dałam jej gąbkę, mydło i ręcznik.

— Ciocia się nie gniewa?

— Prywatka? — spytałam.

— Nie. Myśmy były same z Hanią.

— Przebierałyście się?

— Ciocia wszystko rozumie. Malowałyśmy się. Ja na Zofię Loren.

Wyciągnęła z kieszeni wyciętą z gazety fotografię.

— O, ciocia widzi. Mnie się wydaje, że jestem do niej podobna jak dwie krople wody. Ubóstwiam ją.

— A Hania?

— Hania to wykapana Bardotka. Pokażę cioci.

— Chcecie zostać gwiazdami filmowymi?

— Ciocia zgadła!

— Jestem bardzo inteligentna. Umyj się i na przyszłość rób to, zanim wychodzisz wieczorem na ulicę.

Zostawiłam ją. W pokoju mąż wciąż się gotował.

— Była na prywatce, co? Kiedy jej matka wreszcie wyzdrowieje i zabierze ją?

— W porządku — powiedziałam. — Słuchaj, czy ty nigdy nie chciałeś być Lią de Putti?

— Rudolfem Valentino — powiedział niby to ironicznie i podszedł do okna. Stałam obok niego.

Matka Pawła wciąż spacerowała. Z ratlerką Felką i jej panią.

W TYM ROKU SZELKI

W domu nie bardzo było gdzie się podziać. W pokoju Anuli urzędowały dwie koleżanki. Jedna przyniosła walizkowy magnetofon, który stał na ziemi i z którego rozlegały się bardzo głośne dźwięki jazzowe i wokalne. Od czasu do czasu panny włączały telewizję, żeby zobaczyć, czy jest już coś do oglądania, ale szybko zamykały, bo wciąż było gadanie. Jedna siedziała w kucki na podłodze, a druga, z Anulą, przy stole. Szyły i rozmawiały namiętnie.

Zajrzałam do nich i zaproponowałam herbatę. Powstało duże zamieszanie. Zerwały się wszystkie, zaczęły dygać i witać się. Zobaczyłam, że wszystkie szyją przy niebieskich džinsach.

— Przerabiacie? — spytałam.

— Ciocia nic nie powie mamie? — zaniepokoiła się Anula.

— Skąd masz te męskie džinsy?

— Od jednego chłopca — powiedziała Anula i spojrzała spode łba.

— I co? Przerabiasz je dla niego?

— Dla siebie — stwierdziła.

— Kiedy je masz zamiar nosić?

— Latem.

— Matka ci pozwoli?

— Matka nie, ale ojciec tak.

— A jak zrobisz, żeby nie wiedziała?

— Ja myślę, że ona będzie na tych badaniach w szpitalu.

Westchnęłam.

Herbaty nie chciały.

Nie wiedziałam, jak się wycofać. Płyta się skończyła, one stały i patrzyły na mnie. Bez żadnego wyrazu twarzy.

— Zapięcia z boku? — odezwałam się wreszcie.

— Skąd! — oburzyła się Anula. — Zapięcie musi być takie jak u chłopców. Skracamy od góry, żeby dochodziły tylko do bioder. Teraz takie modne.

— A jak to się trzyma?

— Jak to? Na szelkach! Ciocia nie wie? W tym roku muszą być szelki.

Wycofywałam się powoli, tyłem, w kierunku drzwi.

— Wujek nie ma jakich starych szelek? — spytała Anula od niechcienia.

— Ma, ale je nosi — powiedziałam szybko i byłam w korytarzu.

Tam zaraz runęła muzyka pełną parą i rozpoczęło się wielkie trajkotanie.

Wzięłam pustą filiżankę i poszłam na górę do matki Pawła.

Ucieszyła się.

— Sól czy cukier? — spytała po sąsiedzku.

— Może być cukier.

Wzięła filiżankę.

Z pokoju Pawła dochodziły smętne powolne dźwięki dętego instrumentu.

— Jak Paweł? — spytałam.

— Jest w nowej fazie. Gra takie spokojne, nawet dosyć sentymentalne płyty.

— Coś jak Bach — stwierdziłam.

— Aha, tylko że na saksofonie.

— Dziwne.

— Dla mnie to duża ulga — powiedziała. — Napije się pani herbaty? Ciszej w domu. Poczytać można.

— Napiję się. A jak Paweł w szkole?

— Nieźle, nieźle — westchnęła. — Była wywiadówka. Mówią, że nie rozrabia. Jest spokojny. Tylko że podobno wciąż się zamyśla i śpiewa pod nosem te różne melodie, co mu chodzą po głowie. Albo wystukuje takt ołówkiem o brzeg ławki.

— Może będzie kompozytorem.

— Bo ja wiem. Czym on już może być, jak on wszystko robi pod muzykę. Uczy się, czyta, je przy akompaniamencie. Podobno teraz to oni wszyscy tak. Jak mąż przyjeżdża do domu, to robi straszne piekło.

— Może bym do niego zajrzała?

— Jak pani chce. Ale niech pani zapuka. Ja tam nie wchodzę, jak on jest.

Zastukałam do niego.

Nie odpowiedział. Smętna, powolna płyta wciąż grała. Uchyliłam drzwi. Leżał jak długi na podłodze. Głowa oparta o ścianę, na której już była duża tłusta plama. Nogi pod kaloryferem. Ojciec musiał być od dawna w terenie, bo Paweł miał włosy opadające na uszy i na czoło, dzinsy zaszyte na najwęższe rurki, koszulę polo na trzy guziczki, ciemnowiśniową. Na stoliku stał magnetofon i grała ta powolna, niemal abstrakcyjna muzyka. Czytał coś zapamiętałe.

Gdy wsunęłam się do pokoju, spojrzał na mnie błędnym wzrokiem i próbował się zerwać na nogi. Usiadłam szybko za zydelku i zatrzymałam go.

— Cześć' — przywitaliśmy się.

— Co czytasz?

— „Starą baśń” — mruknął. — Lektura — dodał i wzruszył ramionami.

— Co robić — westchnęłam.

— Przeżyje się — stwierdził. — Trochę ciężko idzie po Hemingwayu — rozgadał się.

— Zawsze się tak uczysz przy tej muzyce?

— Jak nie ma ojca — powiedział.

— Nie przeszkadza ci to?

— Ja bez tego nic nie potrafię. Szczególnie matmy za nic nie zrobię bez muzyki. Nie ma jak Stan Getz przy trygonometrii.

— Hmm — zgodziłam się.

— Dlatego mam trudności z klasówkami — wyjaśnił.

— Koledzy też?

— No — potwierdził.

— Powinni wprowadzać muzykę do szkoły, no nie?

Zaśmiał się gorzko.

— Oni takich rzeczy nie rozumieją. W ogóle szkoda gadać. Mam jednego, kolegę. Takie wiersze pisze! Pani wie, jazz i poezja. I ma murowaną dwóję z polaka. Żeby oni mu raz na klasówce puścili Gillespiego albo chociażby Matuszkiewicza, toby zobaczyli, co on potrafi. Ale nie ma o czym marzyć. Oni

żyją w średniowieczu.

— Ciężko — stwierdziałam.

Taśma się skończyła. Uniósł się na łokciu, jednym ruchem obrócił ją i puścił. Zakwiliła.

— To ja już pójdę do mamy — wstałam. — Może byś przyszedł do nas. U Anuli są koleżanki — zachęcałam.

— Szyją dzinsy i grają płyty.

— Co grają? — zainteresował się.

— Jakieś bardzo głośne.

— Chała — stwierdził sucho i dodał: — Przepraszam.

— Nie szkodzi — powiedziałam i wyszłam. Usiadłyśmy przy herbacie i konfiturach. W przedpokoju zadzwonił telefon. Zanim matka Pawła zdążyła się podnieść od stołu, Paweł był już przy słuchawce.

— Tak — powiedział. — Zobaczę — powiedział.

— Zaraz — powiedział. — Zrobi się — powiedział. Potem otwierał szafę w przedpokoju i czegoś szukał.

Potem wsunął głowę w drzwi i zapytał jednym tchem:

— Czy pani jeszcze trochę zostaje, bo ja wychodzę, ale zaraz wrócę.

Powiedziałam, że jeszcze zostanę i że w każdym razie poczekam na niego.

Wyszedł.

Matka Pawła była zachwycona.

— On panią to zupełnie wyjątkowo lubi. Nie wiem dlaczego.

Wrócił po kwadransie i poszedł do swojego pokoju. Czekałam jeszcze trochę, ale wcale się nie pokazał, więc pożegnałam się, wzięłam cukier i wróciłam do domu.

Koleżanek Anuli już nie było. Mąż siedział przy stole kuchennym za gazetą. Anula w obcisłych, nie dochodzących do bioder dzinsach i białej bluzce z namarszczoną kryzą, siedziała obok niego i obierała ziemniaki.

— Robimy sobie z wujkiem frytki — oświadczyła. Dzinsy trzymały się na starych, dosyć przepoconych szelkach.

— Dałeś jej swoje szelki? — spytałam męża.

Wyjrzał zza gazety, odpiął marynarkę, pomacał się po

klatce piersiowej i trzasnął szelkami.

— Skąd? — zdziwił się.

— Nic —r powiedziałam i pomyślałam, że w tym roku nie będzie przynajmniej problemu z prezentem imieninowymi dla ojca Pawła.

DWÓJA Z AZYMUTU

— Gdzie ona jest? — denerwował się mąż. — Od czasu kiedy to dziecko jest w domu, spokoju nie ma.

— Niektórzy mają to na co dzień — uspokoilałm go.

— Ale dlaczego się spóźnia na obiad? Jest po czwartej.

— Uspokój się, jeszcze dziesięć dni i pojedzie na kolonie.
Zachmurzył się.

— Będę miał ten pokój dla siebie — mruknał.

— I będziesz mógł latać w kalesonach po mieszkaniu — pocieszałam go.

Westchnął.

Dzwonek u drzwi zabrzmiał na alarm. Pobiegliśmy oboje.

Anula stanęła w drzwiach. Była wybłocona od stóp do głów. Włosy miała zbryzgane błotem, spódnice podartą z przodu, teczkę umazaną.

— Miałaś wypadek! — krzyknęłam.

— Nie — odpowiedziała spokojnie. — Pe-wu.

Kazałam jej natychmiast iść do łazienki.

Wyszła z niej po dłuższym czasie, w szlafroku, z wymytmymi włosami. Pachniała jak dziecko po kąpieli.

Zasiedliśmy do zrujnowanego obiadu.

Była ponura.

Nalałam jej zupy szczawiowej z jajkiem. Jadła powoli, nachylając się nisko nad talerzem. Nic nawet nie powiedziałam, że nieodpowiednio trzyma łyżkę i że słyhać, jak je. Niech sobie dziecko je, jak chce.

— Zmęczona jesteś? — Zapytał mąż. Chciałam go kopnąć pod stołem.

— Aha — mruknęła.

— Pójdiesz ze mną na lody? — zaofiarował.

Ubiegł mnie.

— Za zimno na lody — powiedziałam szybko.

Na drugie były kotlety. Odsunęła talerz.

— Nie mogę — westchnęła.

To mnie naprawdę zaniepokoiło.

— Powiedz, co się stało — zażądałam.

— Pewnie zostanę na drugi rok — powiedziała stragizowanym głosem.

— Z czego jesteś zagrożona? — zdenerwował się mąż, który jej poprzedniego dnia rozwiązywał zadania.

— Z pe-wu — westchnęła. — Mam dwóję.

— Dlaczego? — krzyknęliśmy oboje.

— Azymut mi nie wyszedł — powiedziała i wzięła się do kotleta.

Zamilkliśmy.

— Powiedz mi, dziecko — powiedziałam po chwili — a co to jest takiego?

— No właśnie — ożywiła się Anula. Nałożyłam jej drugi kotlet.

— Czy to bardzo ciężkie? — spytałam.

— Ciociu! — krzyknęła Anula.

Spojrzałam na męża. Patrzył w talerz. Nałożyłam mu kotlet.

— Powiedzcie mi, co to jest — zażądałam.

— Kąt — wymamrotała Anula pełnymi ustami.

— Jaki znowu kąt?

Anula spojrzała na męża. Zakaszłał się strasznie, trzeba go było walić w plecy.

— Jaki kąt? — uparłam się.

— Kąt zawarty między północą magnetyczną a kierunkiem marszu — wyrecytowała Anula jednym tchem.

— Tylko nie mam pojęcia, co to znaczy.

— To z tego kąta masz dwóję? — dowiadywałam się.

— Z tego i jeszcze paru innych rzeczy.

— Dlaczego byłaś taka umazana?

— Bo kazał się czołgać na brzuchu.

— Kto?

— Pan od pe-wu. .

— Dlaczego?

— Bo było błoto — oświadczyła spokojnie.

— Nonsens — oburzył się mąż.

— Za karę, za ten azymut. Wujek w wojsku nie był czy co?
— Byłem w kampanii wrześniowej — wyprostował się mąż.
— No tak, ale wtedy była susza.
— Dlaczego mundurów nie macie?
— Nie wiem — wyciągnęła talerz. Kotletów już nic nie było.
Nałożyłam jej ziemniaki.

— Z marszu kościuszkowskiego też mam dwóję — dodała. —
Nie wiem, co będzie.

— A co to jest marsz kościuszkowski?

— Osiem razy dookoła szkoły.

— Tego nie potrafisz?

— Owszem, tylko że po drodze spotkałam jedną koleżankę i zaczęłyśmy gadać, i nawaliłam czas.

— No i co?

— Znowu musiałam paść w to błoto.

— A koleżanka?

— Ona zrobiła lepiej, bo wsiadła w tramwaj i pojechała na Bielany.

— Na wagary? — oburzył się mąż.

— No tak, ale on jej nie zauważył i dwóji jej nie postawił.

— Nie zostaniesz chyba na drugi rok z powodu pe-wu? Przełknęła olbrzymią łyżkę tłuczonych kartofli, odrzuciła głowę w tył.

— Zabiłabym się — rzuciła.

Podsunęłam jej szybko budyń czekoladowy z syropem truskawkowym. Lubi to.

— Nie gadaj głupstw — wtrącił mąż, zupełnie niepotrzebnie.

— Zabiłabym się, nie wytrzymałabym takiej hańby

— dodała Anula głosem omdlewającym i tragicznym. Udało mi się kopnąć męża pod stołem, więc zapanowała cisza.

Kazałam jej się położyć na kanapie, a sama poszłam do łazienki, otworzyłam szafkę na lekarstwa i wyjęłam aspirynę, belergal, proszki nasenne i kwas borny. Schowałam do bieliźniarki i zamknęłam na klucz.

Zaczęłam zmywać naczynia.

Mąż przyszedł do kuchni i stał przez dłuższy czas, przyglądając mi się. Wepchnęłam mu ścierkę do rąk.

Zaczął powoli wycierać jeden talerz.

– A mówi się, że młodzież jest cyniczna – westchnął.

– To tylko rodzice – pocieszyłam go.

– Mam te bilety do opery na wieczór – powiedział.

– Poszłabyś z jaką kumą, bo mnie głowa boli.

– Już usunęłam wszystkie proszki z apteczki.

– Ale gaz – mruknął.

Gdy odstawiłam naczynia do szafki, weszła do kuchni Anula.

– Ciocia nie pożyczłaby jakiej sukni na sobotę?

– spytała z bardzo dużym uśmiechem. – Ciocia ma taką W kwiaty, wyrzuconą z tyłu. Poskracałabym trochę.

– Gdzie się wybierasz? – ucieszyłam się.

– Na bal maturalny w Domu Chłopa. Ochoty nawet nie mam, ale zaprosił mnie jeden chłopiec i nie mogę mu zrobić zawodu.

W operze grali „Święto wiosny” Strawińskiego. Naprawdę wspaniałe przedstawienie.

SEJNT LUJI ŁUMEN

Dwa razy kłaniał mi się jakiś wyrostek. Raz w poniedziałek na schodach, a drugi raz we wtorek w bramie.

Zaraz potem spotkałam matkę Pawła.

— Wrócił z kolonii — powiedziała — ten sam, a nie ten sam. Musi go pani zobaczyć. Nawet zaczął do mnie mówić. Chudy, zagłodzony. Jeszcze nie jest domyty po tych czterech tygodniach, więc nie wiadomo, czy taki mizerny, czy tylko brudny. Mąż go ogolił elektryczną maszynką. Rozmawiali o astronautach. Wieczorem wykąpał się i nawet przyszedł do mnie, żeby mu obciąć paznokcie u prawej ręki. Nie chcę nic mówić, żeby nie zauroczyć, ale może będzie lekka zima.

— Właśnie, podobno w Łodzi zakwitła w parku jabłoń po raz trzeci — powiedziałam.

Matka Pawła spojrzała na mnie'zdziwionym wzrokiem.

— A Anula? — spytała — co robiła latem?

— Też była na koloniach, ale uciekła na trzeci dzień.

— ???

— Bo na tej kolonii jadły na stojąco — wyjaśniłam — i nie miały się gdzie myć. Tylko że łóżko zostawiła.

— Jakie łóżko?

— Kazali im przyjechać ze składanym łóżkiem i z pościelą. Łóżka już nie udźwignęła i zostało. Jedzenie podobno było bardzo dobre. Już u nas nie mieszka, bo jej matka zdrowsza i wróciła ze szpitala do domu. Może by Paweł znowu kiedy wpadł.

— Powiem mu.

Wpadł rzeczywiście jeszcze tego popołudnia. Przebierałam borówki i słuchałam radia. Grała jakaś orkiestra taneczna. Wszedł, uklonił się i brzęknął gitarą.

Zamknęłam szybko'radio, żeby nie myślał, że ja tego słucham z entuzjazmem. Z borówkami było gorzej. No, ale trudno.

— Mama pyta, czy pani nie pożyczyłaby jej pół kilo cukru —

powiedział od razu.

— Owszem, owszem - ucieszyłam się.

— Też smaży borówki — dodał i brzęknął.

— No wiesz — powiedziałam — przy tym się bardzo dobrze myśli. Mozart podobno haftował obicia na krzeselka, jak chciał się skupić.

— No właśnie — brzęknął Paweł.

— Nie lubisz Mozarta?

— Nie, całkiem sympatyczny, tylko że nudny.

— To może to był Beethoven? — zastanowiłam się.

— Mnie wszystko jedno — przyznał się. — Chyba że Bach. Słyszałem taką jedną płytę. Bach przerobiony przez Jacquesa Loussier. Koniec świata. Można słuchać całą noc.

Brzęknął dwa razy.

— Spieszysz się?

— Nie bardzo. Muszę iść do papeterii, ale pewnie i tak nie będzie tego, co potrzebuję.

— Właśnie, podobno nie ma dzienniczków.

— Dzienniczki? — skrzywił się Paweł. — To w podstawówce. Ale kupić się nie kupi, bo nie ma.

— Może byś coś zjadł, bo do stania w kolejce trzeba mieć siły.

— W kolejce się teraz nie stoi — brzęknął. — Przed papeterią jest wywieszka, gdzie pisze, czego nie ma, więc się nie wchodzi, jak nie potrzeba. Bardzo to mądrze zorganizowali. Lepiej niż w zeszłym roku.

— Zjadłbyś smażonych kartofli?

— Poproszę — brzęknął i siadł na zydelku kuchennym. — Ja potrzebuję blok techniczny i papier milimetry, więc spokojna głowa, nie będzie.

— A podręczniki masz?

— Jeszcze nie wszystkie. Nikt nie chce odstąpić.

— To bardzo nieładnie.

— Ja też moich nie chciałem dać, bo potem nie ma z czego powtarzać materiału. Komplikacja — brzęknął.

— Ale obiecała mi jedna dziewczyna. Zresztą przyrzekłem, że jak będzie potrzebowała, to jej pożyczę.

— Dobre miałeś lato?

— Niezłe. Tylko że ze wszystkich dobrych rzeczy wyrosłem. I wciąż mi się jeść chce. Czasem myślę, że może jestem chory. Tylko niech pani matce nie mówi.

— Głowa cię boli? — zaniepokoiłam się.

— Nie. Nic mnie nie boli, ale może mam solitera czy coś w żołądku, co tak ssie.

— Może byś poszedł do lekarza szkolnego?

— Kiedy wszyscy w klasie tacy. Jakaś epidemia, jak Boga kocham. W zeszłym roku przynosiło się po dwie bułki, w tym po cztery i jeszcze człowiek jest głodny jak wilk. I sił nikt nie ma. Wczoraj kopaliśmy Warszawę, to trzeba było nas zobaczyć. Ostatnie łąchudry. Dziewczyny nas zakasały. Stasiak mówi, że to te próby atomowe, co Amerykanie zrobili w kosmosie. Pani wie, oni naruszyli pas van Allena i zagięli w dwóch miejscach. Trzy sputniki wysiadły.

— Zjadłbyś jeszcze kartofli?

— Poproszę.

Zjadł i jakby zamiast słownego podziękowania zagrał coś krótkiego, ale bardzo melodyjnego na gitarze.

— Jak to się nazywa? — spytałam.

— Sejnt luji lumen — powiedział.,

— ???

— To po angielsku — wyjaśnił.

Masz zdolności do języków.

Uśmiechnął się skromnie.

— Eeee...

— Gdzie Anula? — zapytał nagle, zupełnie jak dorosły facet.

— Już wróciła do swoich. Przecież w zeszłym roku to jej unikałeś? — nie wytrzymałam.

— Kiedy to było? Sto lat temu — powiedział i podniósł się. — To fajna dziewczyna, tylko nogi miała za krótkie. Może jej urosły.

Poszedł, oczywiście, bez cukru. Po schodach wchodził szybko, ale zwyczajnie, jak człowiek, po jednym stopniu. Nie wiem, jaka będzie zima, ale w każdym razie inna.

PANTA REI

Zadzwoiłam do matki Anuli i poprosiłam, żeby mi ją przysłała na herbatę w sobotę.

— Nie wiem, czy przyjdzie — powiedziała matka Anuli. — Dam ci znać.

— Jak to? Już taka zajęta?

— Nieee. Tylko że zobaczysz, jak się zmieniała.

— Więc przyjdzie?

— Nie wiem.

— To jak mam zobaczyć.

— Zobaczymy.

Zobaczyłam ją w sobotę o piątej i rzeczywiście była zupełnie odmieniona.

— Nic a nic się nie opaliłaś — zaryzykowałam.

— Ciocia by zobaczyła uda.

— Ale na twarzy jesteś blada.

— Twarz osłaniałam — powiedziała sucho.

— Co zrobiłaś takiego z włosami?

— Nic, najpierw obcięłam, bo były zniszczone od tapirowania, a teraz zapuszczam do ramion.

— Ale są jaśniejsze.

Zarumieniła się.

— To od słońca — skłamała.

Była ubrana na czarno. Czarna, zbyt obcisła spódnica, czarny sweterek też zbyt obcisły.

— Wyrosłaś z wszystkiego czy co?

— Nieee, zwęziłam, bo było za duże.

— Dlaczego jesteś na czarno?

— No tak. Modne. Matka też już robi o to awantury.

Siedziała na fotelu bokiem, wysuwając jedno biodro i jedną nogę.

— Boli cię coś?

— Skąd?

Nalałam jej herbaty. Cukier odsunęła, ciastka na suchym spodzie z poziomkami, od samego Gajewskiego, też.

— Jak ci leci w szkole? — spytałam bez większego zainteresowania.

— Dociera się.

— Nic nowego?

— Owszem, nowy stary od polaka.

Jęknęłam.

— Dobry?

— Dociera się.

— Może jednak zjesz ciastko, póki są, bo Paweł chyba zaraz przyjdzie.

— Niech sobie je ciastka — powiedziała Anula obojętnie.

— Anula — przysunęłam się do niej. — Ze mną możesz gadać. Mów, co się dzieje.

— Nic — powiedziała i odsunęła się nieznacznie, wygładzając obcisłą spódnicę, która podjeżdżała jej wciąż w górę. — Czas mija, człowiek się zmienia. Nie jestem już ta sama, co w zeszłym roku.

— Rzeczywiście — westchnęłam.

— Świat nie jest ten sam.

— *Panta rei* — zauważyłam.

— No tak, może — powiedziała — ale ona nie zastąpi Marilyn. Żadna jej nie zastąpi. Jak ona się nazywa? Jakaś Hinduska? Może to ta, z którą Brando ma dziecko?

— Nie, nie — speszyłam się. — Głupstwo — powiedziałam.

— Ale słuchaj no, czy ty przypadkiem nosisz żałobę po Marilyn Monroe?

— Żałobę? — poruszyła się Anula i ściągnęła spódnicę. — Ona by sobie nie życzyła, żeby po niej noszono żałobę. To nie była kobieta, to . był symbol naszych czasów. Nie wszyscy to jeszcze zrozumieli, ale są tacy.

— To była rzeczywiście bardzo ładna blondynka — powiedziałam.

— Ładna blondynka? — zdenerwowała się Anula.

— To była wielka ofiara Hollywoodu, najniešťeśliwsza i najpiękniejsza kobieta świata. Zabiła się, bo jej nikt nie

kochał. To jest największa tragedia naszych czasów.

— Nie przejmuj się tak. Pamiętam, jak byłam w twoim wieku, to samo działo się, jak umarł Rudolf Valentino.

— Ten mydłek z wypomadowaną głową? — powiedziała Anula pogardliwie. — Widziałam raz, w telewizji, kawałek filmu z nim. Można pęknąć ze śmiechu.

— Tak? A ja przez tydzień nic do ust wziąć nie mogłam, a jak wiadomość gruchnęła w szkole, cała nasza klasa dostała ataku hysterii.

Zaległo milczenie. Zaczynało mi świtać.

— Słuchaj, czy ona się zawsze ubierała na czarno? — spytałam niewinnie.

— Przeważnie, i w obciste rzeczy, bo ona była symbolem seksu.

Pobiegła do przedpokoju i przyniosła teczkę. Z teczki wyjęła album.

— O proszę — album był pełen zdjęć Marilyn Monroe, wyciętych z różnych czasopism. — Czasami nosiła białe suknie. O tu. Boże, jaka ona była piękna i nieszczęśliwa.

— No tak.

— Ktoś musi zająć jej miejsce — zamyśliła się Anula.

— Ktoś, kto jest do niej podobny z ducha i ciała.

I niekoniecznie w Ameryce, prawda?

— Niekoniecznie.

— Ktoś, kto jak ona miał nieszczęśliwe dzieciństwo.

— Bój się Boga!

— Ktoś, kto jak ona żyje wewnętrznym życiem.

— Ładna historia!

— Ktoś, kto jak ona jest nierozumiany przez otoczenie.

— Słuchaj, Anula, ty nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że reflektujesz na to stanowisko? — ze zdenerwowania zjadłam już dwa ciastka.

— Czuję duże podobieństwo i pokrewność dusz

— westchnęła. — Ale Ola Kowalska ma lepsze warunki.

Większy biust, ojciec żyje z inną kobietą, a ona wszystko gubi.

— Dużo jest w ogóle kandydatek? — uspokoiliam się.

— U nas w klasie tylko my dwie — powiedziała i jednak

sięgnęła po ciastko. — W całej szkole to się jeszcze nie zorientowałam, ale sporo. Poza tym trzeba wziąć pod uwagę inne szkoły, no i nie samą stolicę. Zresztą, co się dzieje w całej Europie. Ba, świecie. No, ale zobaczymy. Zobaczymy, kto zwycięży.

PODEJŚCIE PSYCHOLOGICZNE

— Mnie się zdaje, że on pali — powiedziała matka Pawła w dużym zdenerwowaniu.

Wyjęła z torebki papierosa. Zaciągnęła się głęboko.

— Może nie — pocieszyłam ją — to taki porządny chłopiec.

— Znalazłam zapalną w kieszeni jego marynarki.

— Wypaloną czy całą?

— Wypaloną.

— Hm. Może mu ją podrzucili. To wszystko?

— Kurtka jego przesiąknięta jest dymem.

— Może był w „Świteziance” na kawie?

— On tam nie chodzi.

— Papierosów pani nie brakuje?

— Nie mówiłam, że kradnie, tylko że pali — oburzyła się.

Przeprosiłam ją.

— Jakby się mąż dowiedział — jęknęła po chwili — to by był dopiero skandal.

— A mąż co pali?

— „Silesie”.

— To dobre?

— Okropne. Ja tego do ust nie biorę.

— A pani co?

— „Carmeny”.

Wypaliła nerwowo do końca.

— Proszę pani — powiedziała wreszcie — niech pani jakoś wybada, czy on pali. Pani ma takie psychologiczne podejście. Ja muszę wiedzieć, ze względu na męża.

Przyrzekłam, że zrobię, co będę mogła.

Po południu poszłam do zaprzyjaźnionej budki „Ruchu”.

— Poproszę „Carmeny” i jeszcze jakieś dobre papierosy — powiedziałam dość nieśmiało do starszej pani, która obsługuje.

— A na co pani papierosy? — zdziwiła się. — Odłożyłam

pani „Przekrój” i pastę do zębów „Odoł”.

Podziękowałam i twardo zażądałam jeszcze trzech gatunków papierosów i zapalki. Kiwała głową.

— To dla jednego znajomego chłopca.

— Coś podobnego — mruzczała starsza pani.

— Chcę zobaczyć, czy on pali — wytłumaczyłam jej, ale ona spojrzała na mnie dziwnie i wydała mi resztę nie prosząc nawet o końcówkę. Naraziłam się.

Po południu nie domknęłam drzwi wejściowych, że to niby przez omyłkę, żeby Paweł, kiedy będzie wracał z pływania koło szóstej, zadzwonił i zwrócił mi uwagę.

Już o wpół do szóstej zaczęłam zapalać papierosa po papierosie, żeby się zrobił dym w mieszkaniu i to sporo, tak żeby go było czuć na schodach.

Nie palę papierosów, ale ostatecznie każdy potrafi nakurzyć.

Na szczęście, Paweł tego dnia szybko pływał i był na schodach już o piątej czterdzieści pięć.

— Drzwi — powiedział i stanął w drzwiach.

— Zamknij i wejdź na chwilę — zawołałam zza kłębów dymu.

— U pani goście — stwierdził Paweł — to ja sobie pójdę.

Wybiegłam do przedpokoju.

— Nikogo nie ma. Wejdziesz.

Wszedł i zakaszał.

— Siadaj — powiedziałam słabym głosem. — Może zapalisz?

— Dziękuję — odpowiedział spokojnie — palę wyłącznie fajkę.

— To otwórz okno, proszę cię, i wypróżnij mi te popielniczki.

Zadanie moje było spełnione. Podejście psychologiczne to jednak jedyny system postępowania z młodzieżą.

Poszedł do kuchni, wypróżnił popielniczki, wrócił, okno otworzył. Siadł.

— Od kiedy palisz fajkę? — spytałam.

— Od lata. Ja właściwie nie palę, tylko trzymam w zębach — przyznał się.

— Po co?

— Człowiek musi coś palić, wszyscy palą — wzruszył ramionami — a papierosów mi się nie chce ze względu na płuca.

— Właśnie. Czytałeś najnowsze statystyki?

— Czytałem. Nawet matce mówiłem, żeby przestała palić, ale nałóg to straszna rzecz.

— No tak.

— Ojciec też za dużo pali, a u mężczyzn to jeszcze groźniejsze — zamyślił się Paweł. — Ale z oj ciem to nawet nie zacznę rozmowy. Tylko mnie zwymyśla.

— Hmm.

— Chciałbym mu zaproponować, żeby palił fajkę. Fajką człowiek się nie zaciąga. Nawet cygara już są lepsze.

— A u was w klasie palą?

— W klasie nie. W szatni — powiedział krótko.

— To dlatego, twoja kurtka jest przesiąknięta dymem.

— Pewnie. Tam to się kłębi.

— Dlaczego nie pomówisz z kolegami o szkodliwości palenia?

Spojrzał na mnie tak, jak zwykle patrzy na swoją matkę, aż mi się niedobrze zrobiło.

— Ci, co wiedzą, palą fajki — powiedział po chwili. Dym powoli wychodził przez otwarte okno. Było zimno.

— A pani? — powiedział po pewnym czasie Paweł. — Pani to tak hurtowo pali? Od kiedy?

— Ja wcale nie palę — zapewniłam go.

Bolała mnie głowa.

— To dobrze — powiedział. — Jak się wywietrzy, to ja zamknę.

— Ja to bym panią o coś poprosił — powiedział na odchodnym. — Czy pani nie mogłaby przy okazji pomówić z matką i wytłumaczyć jej, że ona sobie skraca życie. Pani ma takie psychologiczne podejście.

WYWIADÓWKA

Matka Pawła miała grypę. Zanioślam jej sok malinowy domowej roboty. Była wzruszona.

— Jutro jest wywiadówka w szkole Pawła — powiedziała. — Nie wiem, co będzie, bo mąż, jak zwykle, w terenie. A ktoś musi iść. Żądają.

— Co on robi w terenie? — zaryzykowałam.

— Tym razem — oświadczyła — bada, dlaczego ludzie tak mało produkują, a tak dużo konsumują.

Zamyśliłyśmy się.

— Może ja pójdę za panią? — zaproponowałam.

— Cudownie — ucieszyła się matka Pawła. — On przyjdzie do pani i wszystko pani wyjaśni.

Paweł przyszedł pod wieczór.

Byłam w dobrym jedwabnym kostiumie i mohairowym szalu w kratę, bo wybierałam się na koncert.

— O piątej — powiedział.

— Co mam robić? — spytałam.

— Nic.

— Jak to nic?

— Posiedzi pani w ławce i posłucha pani.

— ??

— Najpierw jest pogadanka z rodzicami, potem odczytują dwóje, a potem trzeba będzie iść do tych nauczycieli, co stawiają dwóje.

— Ile masz dwój?

— Ja nie mam dwój — powiedział Paweł ponuro.

— Ja mam drakę.

— O co?

— O podpowiadanie, o tarczę, może jeszcze o coś.

— To co mam zrobić?

— Nic. Zrobi mi pani drakę, jak wróci.

— Daj mi jeszcze jakieś wskazówki.

— Żeby się pani jakoś ubrała — wyrzucił z siebie Paweł.
— Nie podoba ci się ten kostium?
— Bardzo ładny — powiedział szybko. — Ale nie do szkoły. Może coś więcej szarego. I włosy...

— Co z włosami? — zaniepokoiłam się.
— Nic z włosami. Tylko że są takie uczesane. Może pani włoży chustkę na głowę.

— Włożę chustkę.
Pobiegłam po starą jesionkę.

— Ta dobra?
— Bardzo dobra — pochwalił. — Niech jej pani nie zdejmuje. I tak wieje od okna. I pantofle na niskim obcasie — dodał.

Zmieniłam buty, nałożyłam jesionkę i chustkę na głowę.

— Wygląda pani prawie jak matka — ucieszył się.

— Ale twoja matka tak wcale nie wygląda — zdziwiłam się.

— Moja to sobie nic nie da powiedzieć — powiedział ponuro.

— I co jeszcze?

— Niech pani siada na ostatniej ławce i niech pani siedzi cicho, a jak panią będą pytali, to niech pani mówi tak albo nie. I niech się pani do niczego nie przyznaje.

— I co jeszcze?

— Bo ja wiem? Niech pani nie pali i niech pani nie podpowiada.

— Która jest twoja ławka? — zapytałam.

— Teraz nie ma się ławki ani klasy. Teraz są pracownie nauczycieli i na każdą lekcję idzie się gdzie indziej.

Zasmuciłam się.

— No to cześć — powiedział Paweł. — To ja przyjdę się jutro dowiedzieć.

Pierwsza osoba, jaką spotkałam w klasie, to był Felek Smykalski. Siedział w ostatniej ławce pod oknem i palił papierosa.

Usiadłam obok. Było nam trochę ciasno, szczególnie że nie zdjęłam palta.

— Cześć — powiedziałam.

Felek strzepnął popiół do pudełka od zapalek i spojrzał na mnie zdziwiony.

— Dobry wieczór — mruknął.

Nie poznał mnie. Był łysy i gruby. Ostatni raz tańczyliśmy w Jastarni latem 1939 roku.

— Jastarnia — powiedziałam i w duchu przeklełam Pawła za tę chustkę, za to, że nie nałożyłam pomadki do ust i za te półbuty. — „Czy pamiętasz tę noc w Zakopanem” — zanuciłam.

— Jezus Maria — jęknął i zaczął się wygramalać z ławki.

— Siedź i zgaś papierosa — syknęłam.

— To ty już masz takiego dorosłego syna? — powiedział, ale w tej samej chwili wszedł profesor i ja szybko zerwałam się z ławki.

Wszyscy pozostali na miejscach, więc udawałam, że mi puściło oczko w pończosze i też usiadłam.

— Nie wiedziałem, że masz syna — szepnął Felek.

— Nie mam żadnego syna.

— Córkę?

— Też nie.

— ??

— Chorą sąsiadkę — szepnęłam.

Nauczyciel spojrzał na nas i zrobiło się cicho. Odczytał statystykę dwój. Osiemnaście z polskiego, dwanaście z matematyki, szesnaście z łaciny. Coś straszego.

Syn Felka nie miał ani jednej, Paweł trzy z trzech różnych przedmiotów. Trzeba z nim będzie pogadać.

Potem była mowa o tarczach. Syn Felka ma tarcze przyszyte do wszystkiego, a Paweł podobno nosi na gumce. Byłam wściekła.

Felek dyskretnie zgasił papierosa o podeszwę i ukrył niedopałek pod ławką. Wzięłam niedopałek, schowałam do torebki i spojrzałam na Felka złym wzrokiem. Może to ławka Pawła.

Kilka osób zabrało głos w sprawie dwój. Stwierdzili, że statystycznie nasza klasa stoi fatalnie, bo bije niemal rekord szkolny. Powzięto uchwałę o zmniejszenie dwój na następny

kwartał o dwadzieścia pięć procent. Będę musiała pogadać z Pawłem.

Potem okazało się, że palą w szatniach, chodzą na wagary do Cedetu, wybijają szyby w oknach, kradną wieczne pióra, biją się i są leniwi. Czekałam cały czas, żeby powiedzieli o nich choć jedno dobre słowo, ale nie było.

Potem były różne propozycje zmierzające do podniesienia ich poziomu. Zdecydowano pójść z nimi do Zoo, pojechać do Wilanowa i pokazać im, jak się robi obrabiarki.

— Dużo masz tych synów? — szepnęłam do Felka.

— Czterech — powiedział z dumą.

Jak nas tylko wypuścili, pobiegłam do domu. Piechotą, żeby się wywietrzyć. Felek chciał mnie odprowadzić, ale odmówiłam. Za dużo tych wzruszeń jak na jeden dzień.

Matka Pawła czekała na mnie. Miała 39 i sześć.

— Wszystko dobrze — powiedziałam jej. — Trzeba tylko dobrze przyszyć tarczę do jego palta i pilnować, żeby odrabiał starannie lekcje, samemu poduczyć się matematyki, fizyki, łaciny i chemii, żeby go móc sprawdzać, pilnować, żeby się porządnie mył, nie dawać mu za dużo pieniędzy, kłaść go do łóżka o 10, uważać, żeby nie oglądał filmów w telewizji nie przeznaczonych dla młodzieży, uważać, żeby nie palił, żeby mył zęby rano i wieczorem, żeby się nie spóźniał do szkoły, żeby przebywał w odpowiednim towarzystwie, żeby chodził codziennie godzinę na spacer, żeby spał przy otwartym oknie i żeby nie mówił wyrazów.

— A ile ma dwój? — spytała słabym głosem matka Pawła.

— Jakich tam dwój? — zaśmiałam się. — Ale gdzie on jest?

— Pewnie siedzi w kuchni i czeka na panią.

— To ja z nim pogadam — westchnęłam.

Poszłam do kuchni. Powoli. I pomyśleć, że o mały włos nie wyszłam za mąż za Felka.

TRZECI NURT

— Cholerny pech — powiedział Paweł — balet jazzowy jest w niedzielę.

— No to co? — zdziwiłam się.

— W niedzielę ojciec jest w domu.

— No to co?

— Bo w niedzielę chodzi się z wizytą albo rozmawia się o mnie, albo przychodzi rodzina.

— Rzeczywiście.

Zamilkliśmy.

— To może ja cię zaproszę na ten balet? — zaryzykowałam.

Spojrzał zaalarmowany. Po sekundzie zaczerwienił się.

— To zaprosz ojca — powiedziałam szybko.

— Wolę już panią — wyjąkał i zrobił się jeszcze czerwiejszy.

— To ja zadzwonię do matki — powiedziałam i zaraz pożałowałam.

— Bilety mogę załatwić — wymruczał Paweł. — Ale tylko wejściówki. Mam kolekę, co gra na wiolonczeli.

— Jak to?

— W Orkiestrze Filharmonii Narodowej.

— No, ale my przecież idziemy na jazz.

— Pani nie wie? — zdziwił się. — Jazz to już nie to co było. Tam będą grali różni soliści z orkiestry symfonicznej. Trzeci nurt — dodał tajemniczo.

— Słuchaj, ale żeby tam nie było jakiejś draki.

— Z trzecim nurtem? — wykrzyknął. — Pani chyba żartuje.

— Żartuję — powiedziałam i pożegnaliśmy się.

Do matki Pawła zadzwoniłam tegoż wieczora.

— Pozwoliłam sobie zaprosić Pawła na koncert w Filharmonii w niedzielę po południu — oświadczyłam.

— Trzeci nurt, pani wie.

— To świetnie — ucieszyła się matka Pawła. — Pani ma zawsze doskonale poihysły. A czyj to utwór?

— Benjamina Brittena — powiedziałam bez zająknięcia.

— Ach, tak — ucieszyła się matka Pawła. — To na pewno bardzo ciekawe.

Mężowi kupiłam dwa bilety do kina na „Siedmiu wspaniałych” i poszedł ze swoją ciotką, która się bardzo bronila.

Paweł wstąpił po mnie na godzinę przed koncertem. Był w nowym szarym ubraniu, białej koszuli i krawacie w groszki. Włosy miał mokre i przyczesane. Pokaleczony był w dwóch miejscach, na brodzie i pod nosem.

— Co mam włożyć? — spytałam. — Czy tak jak na wywiadówkę?

— Skąd. Tak jak na koncert.

Przestępował z nogi na nogę i był zdenerwowany.

— Mamy masę czasu — powiedziałam.

— Skąd. Mamy tylko wejściówki. Trzeba pozałatwiać różne sprawy. Kupimy sobie krzesła od woźnego i przystawimy blisko estrady. No, i muszę się jeszcze zobaczyć z kolegami. Pani rozumie.

— Może byś poszedł naprzód — zaświtało mi nagle.

— Zostaw moją wejściówkę, a ja już sobie poradzę.

Aż mu twarz pojaśniała. — Byczo — krzyknął. — A co będzie, jak się nie znajdziemy?

— Nie szukaj mnie — rzuciłam od niechcenia.

Poleciał.

Ubrałam się porządnie. Całe szczęście, bo towarzystwo w Filharmonii było rzeczywiście eleganckie. Nie to co w piątce. Ani jednego mohairowego szala w całej sali.

Dałam pięć złotych woźnemu i zaraz posadził mnie w drugim rzędzie koło Amerykanki z biustem wywindowanym pod czarnym swetrem przy pomocy jakiejś żelaznej konstrukcji. Żuła gumę i gryzła paznokcie jednocześnie.

Rozejrzałam się dyskretnie za Pawłem. Siedział gdzieś w jakimś siódmym dostawionym rzędzie, z boku, na małym krzeselku i gadał jak najęty z młodzieńcami wielkiej urody i w nienaganych strojach popołudniowych. Jego matka ma rację. On prowadzi podwójne życie.

Sala wypełniona była szczelnie. Pachniało dobrym mydłem i wodą kolońską, a nie jak w piątki. Ten trzeci nurt zaczyna mi się podobać.

Na estradzie były cztery perkusje, organy, klawesyn, fortepian i kupa muzyków.

Potem na podium wstąpił przystojny dyrygent, uniósł wysoko ręce, na sali zrobiło się bardzo ęicho. Dyrygent machnął rękami bardzo energicznie dwa razy, muzycy zebrali się w sobie, potem jeden uderzył w talerz, ale cienko. Potem była cisza, a potem po kolei i razem instrumenty wydawały z siebie różne dźwięki. Z fortepianem musiało być coś grubo nie w porządku, bo pianista wcale nie używał klawiszy, tylko grzebał palczkami od bębna w środku i od czasu do czasu leciutko uderzał w struny, przy czym prawie cały wlaźł do środka.

Po pewnym czasie wszystkie perkusje rąbnęły razem i zrobiło się bardzo głośno. Potem amerykański solista zaczął trąbić na jakimś dętym instrumencie, a siedząca koło mnie Amerykanka o mały włos nie zwariowała.

W przerwie Paweł stał z kolegami koło bufetu i wciąż gadali jak najęci. Udawaliśmy, że się nie znamy.

Po przerwie był balet. Sami najlepsi soliści Opery tańczyli. Moja Amerykanka była w transie. Żuła, jakby jej za to płacili.

Potem były jakieś tria i kwintety. Przypominały Bacha i Haendla, ale słabo. Zaczęłam się okropnie nudzić.

Wysłam dyskretnie i poszłam do pustej szatni. Szatniarka drzemała.

— Jak się pani to podoba? — spytałam, bo wiem, że to znawca.

— Trzeci nurt? — ziewnęła. — Nie bardzo. Jeszcze dwa, trzy lata temu to była zabaw^Ta. Jaka muzyka, ile życia! Jazz, rozumie pani. A teraz! Już wolę piątki. A publiczność! Wyfloczeni jak na imieniny u cioci. Niech sobie schowają ten swój trzeci nurt.

Dałam jej pięć złotych. Za zgodność poglądów płacę chętnie.

Wzięłam taksówkę i pojechałam do domu.

Mąż i ciotka już siedzieli przy herbacie. Film im się podobał.

- A ty? – spytał mąż. – Jak się bawiłaś?
- Poczekam na czwarty nurt – powiedziałam krótko.
- Że też ty zawsze mówisz takie rzeczy, których ja nie rozumiem – powiedziała ciotka i zabrali się z mężem do rozkładania domina.

MOŻNA ZWARIOWAĆ

— Matka Anuli musi koniecznie pojechać na miesiąc do sanatorium — powiedziałam do męża przy kolacji.

Od razu wstał i zaczął przesuwać meble.

— Poczekaj — zdenerwowałam się. — Właśnie chciałam się naradzić z tobą, co zrobić.

— To wyście jeszcze nic nie postanowiły? — zdziwił się..

To mnie zdenerwowało:

— Chyba nie chcesz, żeby dziecko zostało samo jedno w domu na święta?

— Nic nie powiedziałem.

— Bo ty nigdy nie byłeś małą dziewczynką.

— Rzeczywiście, bardzo przepraszam — powiedział i odsunął nóżki z sosem chrzanowym.

— Ty ze mnie kpisz!

Przysunął nóżki z sosem chrzanowym.

— Nie mam w ogóle nic do gadania.

Odsunął nóżki z sosem chrzanowym.

— Więc co mam powiedzieć tej matce? Żeby nie jechała?

Nałożył sobie nóżek i sosu chrzanowego.

— Niech jedzie — wymamrotał. Zawsze mówi, kiedy ma pełne usta.

— Masz jednak dobre serce — powiedziałam.

— Dobre nóżki — stwierdził.

Dałam spokój. Ja z nim nigdy nie wygram, bo on nie walczy uczciwie. Anulę wezwałam na popołudnie.

— Przeniesiesz się znów do nas na miesiąc? — zaproponowałam.

— Na święta? — powiedziała bez entuzjazmu.

— No, co zrobić.

— Wszyscy wyjeżdżają — stwierdziła.

— Dokąd?

— Różnie. Na zimowiska.

— Zimowisko to jest w Warszawie — powiedziałam.
— Woda w kranie letnia, gaz malutki, w bramie ślizgawka.
— Ee — powiedziała nie bez racji.
— Może byś też pojechała?
— Dokąd?
— No na te zimowiska.
— Kiedy nikt nie jedzie.
— Jak to? Przed chwilą powiedziałaś, że wszyscy jadą.
— Wszyscy to jadą, ale z moich przyjaciółek żadna, ciocia rozumie?

Ciocia zrozumiała.

— No więc czego narzekasz?
— Ja narzekam?
— Coś tam mruzczałaś.
— Pojechałabym do Zakopanego — powiedziała marnociele.

— Na zimowisko?
— Nie. Do górąla.
— Oszalałaś. Z kim?
— Jak to z kim? Z Ewą.
— Az kim jedzie Ewa?
— Ewa ze swoim Antosiem.
— Poczekaj. Kto to jest Ewa i kto to jest Antoś?
— Ewa to jest moja przyjaciółka, a Antoś to jest z naszej klasy, jej chłopak.

— Jak to, jej chłopak?
— No niech się ciocia tak nie dziwi. Oni są parą.
— Już?
— Jak to już. Od siódmej klasy.
— I co?
— Jak to co? Chodzą ze sobą. Ciocia nigdy nie słyszała? Nawet nauczyciele się wzruszają, jak o nich mówią.

— Dlaczego?
— Jak to dlaczego? Bo to jedyna para w naszej klasie. W całej szkole.

— Nie mów ciągle „jak to”.
— A bo co?

— Jak to, a bo co? Bo to okropne.
— Dobrze. Jak ciocia chce.
— A innych par u was nie ma?
— Pary niemodne — powiedziała Anula.
— To wy w ogóle z chłopcami już nie'chodzicie? —
zainteresowałam się.

— Jak to nie!

— ???

— Chodzimy, ale z różnymi.

— Dokąd?

— Właśnie.

— Nie zrozumiałam.

— No, nie ma dokąd. Do kawiarni to właściwie nie wolno.
W kinie gadać nie można.

— Przecież są kawiarnie młodzieżowe.

— No właśnie, ale trzeba się najpierw zapisać do ZMS-u.

— To się zapisz.

— No właśnie.

— Przestań mówić „no właśnie”.

— Dlaczego ciocia taka nerwowa?

— No właśnie.

— Zupełnie jak mama.

— Paweł mówił to samo — zamyśliłam się.

— Mama mówi, że jest taka nerwowa, bo ja ją
doprowadzam do szału — oświadczyła spokojnie Anula.

— Matka Pawła też — powiedziałam i zaczęło mi świtać.

— Mama mówi, że gdyby nie miała dziecka, to znaczy mnie,
toby miała święte życie. Czy ciocia ma święte życie?

Zaczęłam się zastanawiać.

Zadzwoił telefon.

Paweł.

— Cześć — powiedział tak głośno, że słyhać go było na cały
pokój. — Czy pani nie mogłaby powiedzieć mamie, że ja już
mogę iść na „Idiotkę” do teatru, bo jest straszna awantura.

— Niech jej powie, że idzie na „Zemstę” — poradziła Anula z
miejsca.

— Powiedz, że idziesz na „Zemstę” — powtórzyłam.

— Co ja gadam? Nonsens. Zwariuję od tych waszych spraw. Zejdź na dół, to coś wymyślimy.

Poszłam do łazienki i połknęłam pastylkę belergału.

— Otwórz drzwi — powiedziałam do Anuli. — Daj mi herbaty w kuchni i zajmij się nią trochę. Ja się idę położyć, zupełnie tak jakbym nie miała dzieci.

LUKSEMBURG

— Gdzie jest „Państwo i Prawo” — krzyknął mąż z pokoju do kuchni.

— Zaraz ci przyniosę.

— A „Żyjmy dłużej”?

— Chwileczkę.

— „Nowej Kultury” też nie widzę.

— Poczekaj, wszystko się znajdzie. Chwilka cierpliwości — zapewniłam go.

Wszedł do kuchni. Nie w porę.

— Dlaczego wszystkie pisma leżą na ziemi? — oburzył się.

— Nie wszystkie.

— No tak. Niektóre na stolku. Dlaczego cała prasa w kuchni?

— Zbieram makulaturę. Na stoliku dla Anuli. Na ziemi dla Pawła.

— Ja jeszcze żadnych tygodników nie czytałem. Poza tym niektóre zbieram i wypraszam sobie.

— Kiedy oni muszą mieć, bo inaczej obniżą im stopień ze sprawowania. A skąd takie młode dzieci mają mieć już tyle makulatury. Trzeba im pomóc.

— Mogę ci dać kilka książek.

— Paweł nie weźmie. Powiedział, że książki to nieuczciwa konkurencja. Chciałam mu dać rachunki za elektryczność i gaz, które każesz mi przechowywać od zakończenia wojny, ale on jest pryncypialny. Bierze tylko prasę.

— Bardzo słusznie, ale ja ją najpierw muszę przeczytać.

— To czytaj szybko, bo jutro ostatni termin.

— Myślałem, że może popatrzę dzisiaj na telewizję — powiedział.

— Mowy nie ma. Poza tym dzisiaj na telewizję przychodzą dwie koleżanki Anuli.

— No to co? Nie zmieścimy się?

— Ona prosiła, żeby nikogo prócz nich nie było w pokoju.

— A bo co?

— Nie wiem. Tam jest coś specjalnego. Mam kłopot z Pawłem. On też wczoraj telefonował, czy może przyjść na telewizję, ale chce być sam w pokoju.

— Nic nie rozumiem. Dawaj „Życie Warszawy”, to spojrzę na program.

Przerzuciłam stos gazet na ziemi. Bezskutecznie. Na stolku też jakoś „Życia” nie było.

Rozległ się przeraźliwy dzwonek u drzwi. Anula.

Rzuciła torbę z książkami na ziemię, skopała z nóg pantofle i uśmiechnęła się do męża jak sfinks. Już nie dyga.

— Cześć — powiedział mąż niepewnym głosem.

— Co jest dziś po południu na telepudle?

Okropnie nie lubię, jak on się podlizuje młodzieży.

— Wujek nie wie? Będą uczyli madisona.

Spojrzał na mnie. Zbytecznie. Nie miałam pojęcia, o co chodzi.

— To ciekawe? — zaryzykował.

— Podobno bardzo trudne — Anula naląła sobie herbaty do kubka i zaczęła ją pić niesłodzoną. Znowu się odchudza.

— To teraz dają audycje szkolne po południu? — zdziwiłam się.

— To jest dla wszystkich. Kto chce, może się uczyć.

— Wszechnica — stwierdził mąż z aprobatą.

— Paweł właśnie też prosił — wtrąciłam.

— Mowy nie ma — oburzyła się Anula. — Nie wpuszczamy nikogo. Przyjdzie Fela i Hania. Musimy ćwiczyć same. Jak wujek będzie chciał, to ja go potem nauczę. Chociaż wujek nawet nie umiał twista.

— Aha — ucieszył się mąż. — To taki taniec.

— A co wujek myślał?

— Nic, nic. To wy .się ucicie, a ja sobie u siebie posłucham radia. Mam wolne popołudnie i katar, to sobie spokojnie posiedzę w domu, z pismami i z muzyczką.

— Radio wujka do kitu — Anula żuła kawał suchego chleba.

— Jak to do kitu? Znakomita szarotka. Eksportujemy je.

— Luksemburga na nim nie ma — powiedziała Anula

krótko. — U nas w domu jest Luksemburg, a u wujka nie ma.

— A co dają w tym Luksemburgu? — spytał groźnie.

— Jak to co? Najlepszą muzykę na świecie. Tylko u jednych w Warszawie słyhać, a u innych nie...

Nie próbowałem. Może słyhać — powiedział mąż ostro. Dlaczego ona go tak łatwo wyprowadza z równowagi?

— Ja próbowałam — oświadczyła Anula Fela i Hania próbowały, a one są specjalistki.

Było cicho. Tylko mąż oddychał, tak że słyhać było pod oknem, gdzie szykowałam kotlety.

— Paweł też kręcił — wystrzeżiła Anula. — No i nie ma u wujka. Wsiąkło gdzieś.

— Jak to wsiąkło? — oddychał coraz gwałtowniej.

— Nic dziwnego, że wujek i ciocia o madisonie ode mnie się dowiadują, kiedy już cała Polska o tym wie i nawet uczą na wizji. To dlatego, że Luksemburga u was nie ma.

Mąż porwał kilka numerów starych tygodników z podłogi i uciekł do pokoju.

— To moja makulatura! wrzasnęła Anula.

— To Pawła — uspokoila ją.

— Paweł ma więcej niż ja.

— Nic podobnego. Rozdzieliłam bardzo sprawiedliwie.

— Wagi u cioci nie ma — stwierdziła Anula i zrobiła minę.

— Przydałaby się. Można by ważyć i makulaturę, i stwierdzić, czy się chudnie.

Z pokoju męża dochodziły straszne gwizdy i szумы.

— Wujek na próżno się męczy — stwierdziła Anula.

— To jest bardzo małe państwo i nie każdy aparat je łapie.

Mąż w dalszym ciągu borykał się z szarotką.

— Wujek ją zepsuje — stwierdziła Anula. — Potem będzie na mnie.

Po dziesięciu minutach zamknął aparat, i podbiegł do telefonu. Potem wszedł energicznie do kuchni. Był wyraźnie z siebie zadowolony.

— No co, znalazłeś? — spytałam.

— Zaraz, będzie — stwierdził.

Siadł na stolku.

— Tu niedługo przyjdzie jeden jegomość — powiedział po chwili.

— Uczyć się madisona?

— Nonsens. W sprawie Luksemburga.

— Jak to?

— To jest taki inżynier.

— Nie rozumiem.

— On łapie Luksemburg.

— ???

— Niedrogo — uspokoił mnie.

— Nic nie rozumiem.

— Dzwoniłem do Włodka, bo sobie przypomniałem, że on kiedyś coś mówił. Wierzę tylko w fachowców.

— No i co?

— On go zaraz przyśle. Facet za pięćdziesiąt złotych znajduje ludziom Luksemburg w aparacie, jest bardzo zajęty, ale Włodek go dobrze zna, więc on zaraz przyjdzie.

— Oszalałaś — stwierdziłam tylko.

Kręcił się niespokojnie.

— Posłuchaj — powiedział po chwili. — Nie ma chyba potrzeby, żeby wtajemniczać tę smarkatą we wszystko, co się u nas dzieje. Przecież to w końcu jeszcze dziecko.

NIEŻYTY

Przy kolacji kichała na całą kuchnię. Mąż był zasłonięty gazetą i czytał jakieś dłuższe i wyczerpujące przemówienie, ale ja znalazłam się pod bezpośrednim ostrzałem.

— Kichaj w chusteczkę — powiedziałam.

— Kiedy nie mam chusteczki — powiedziała Anula przez nos.

— Ty masz katar — zaniepokoiłam się.

— Od rana.

— No to aspiryna, herbata z sokiem malinowym i marsz do łóżka — zarządziłam energicznie.

— A jutro?

— Jak to jutro?

— Czy mogę nie iść do szkoły?

Zamilkłam. Od rana miałam siedzieć twardo za biurkiem i pracować.

Mąż wychynął zza gazety. Był wyraźnie wyczerpany tym przemówieniem.

— Głowa mnie boli — jęknął.

Przeraziłam się.

— I mdli mnie. Pewnie trychinoza — powiedział ponuro.

— Dlaczego trychinoza? — krzyknęłam.

— Bo to są objawy. Weź Encyklopedię Zdrowia, to zobaczysz. Zresztą może grypa, czy ja wiem. Te same objawy.

— Jak ciocia będzie patrzyła w encyklopedii — powiedziała Anula słabym głosem — to niech ciocia od razu zobaczy, czy to, co ja mam, to katar.

Kichnęła siarczyście na męża.

— Zlituj się — krzyknął i podał jej swoją chusteczkę.

— Rozsiewasz kropelkowe zakażenie.

Pobiegłam po encyklopedię. Z trychinozy na szczęście nici, bo mężowi brakowało wielu bardzo ważnych objawów. Natomiast kataru w ogóle nie było.

— No tak — oburzyła się Anuła. — U nas to tak ze wszystkim. W podręczniku fizyki też nie ma różnych rzeczy, a potem z tego pytają. Ale ja na pewno mam katar, bo kicham.

Kichnęła.

— Idź do łóżka — powiedział mąż. — Zmierzysz temperaturę. Potem ja zmierzę. Zobaczymy.

— Razem chorować nie możecie! — krzyknęłam. — A ona pewnie ma niezbyt nosa. Objawy te same, co przy katarze.

Anuła miała trzydzieści siedem i dwa. Mąż trzydzieści sześć i sześć. Był bardzo niezadowolony. Dałam mu dwa proszki z krzyżykiem i położył się na tapczanie z Encyklopedią Zdrowia.

Anuła położyła się do łóżka bardzo zasmarkana i bardzo zadowolona. Nawet bez gadania umyła zęby, bo potem całe lustro w łazience było zachlapane pastą do zębów „Odol”.

Rano mąż jeszcze miał ból głowy, ale poszedł do pracy bez większego oporu, mrużąc tylko pod nosem, że pewnie ma chorobę Banga, bo o niej przeczytał i właśnie ma objawy.

— Objawy to jeszcze nie choroba — powiedziałam krótko.

Zadzwoiłam do redakcji pisma i oświadczyłam, że jestem chora i muszą poczekać. Anuła spała jak suszeł, więc pobiegłam na targ po kurę i włoszczyznę. To takie drogie jedzenie, że na pewno nie może zaszkodzić. Kiedy wróciłam, było już prawie południe, bo jeszcze się wystąpiłam w różnych ogonkach.

Anuła siedziała w swoim łóżku i pisała jakieś słówka i zdania w zeszycie. Podałam jej śniadanie na tacy i ligninę pokrajaną w kawałki, żeby miał do nosa.

— Nie przemęczaj się, moje dziecko — powiedziałam.

— Odlóż naukę na kilka dni.

Spuściła oczy i zabrała się do jedzenia. Spojrzałam na jej pismo w zeszycie. To chyba po angielsku, chociaż wygląda dziwnie.

— To pisane fonetycznie, ciocia wie, jak się wymawia.

Przyjrzałam się już otwarcie.

— E nait yn bó(r)dlend — czytałam. — Hai sosaity, hau hai yz d'mun. Bój się Boga, dziecko. Uans yn e uaił, roiel ga(r)dn bluz. Dziwne wam zadają. Co to znaczy?

— To od Pawła — powiedziała przez nos. — I to trzeba

wymawiać z zatkanym nosem, więc korzystam z kataru.

— Jak to od Pawła?

— On mi to zadał.

— ???

— Żeby się mnie nie musiał wstydzić na następnym prywacie.

— Na czym?

— W zeszłym roku mówiło się na prywatce. To to samo.

— Ale co to znaczy. O czym wy mówicie.

— O jazzie — westchnęła Anula. — To są tytuły piosenek.

Bardzo trudne.

Dałam jej pięć pastylek witaminy C, jak mi poradziła pani w ogonku po cytryny.

— Trzeba się uczyć angielskiego. Szkoda, że ciocia nie zna.

— Tak — powiedziałam pod nosem. — Szkoda.

— Co? — spytała Anula.

— Mówi się proszę — powiedziałam i pobiegłam do kuchni, żeby nastawić obiad i nakroić jej jeszcze chleba z dżemem.

Około drugiej zjawił się w kuchni Paweł.

— Jak się ma Anula? — zapytał od razu.

— Skąd wiesz, że chora? — zdziwiłam się.

— Nie było jej rano na przystanku. Zresztą już wczoraj miała katar.

Zamilkliśmy.

Poszurał nogami i pożegnał się.

— Jutro pewnie pójdzie do szkoły? — spytał jeszcze od progu.

— Nie, chyba nie.

— Pani w domu pracuje, prawda?

— Przecież wiesz — powiedziałam surowo.

— No właśnie. Nietypowy dom — spojrzał na mnie spode łba.

— Paweł co ty chcesz przez to powiedzieć?

— W normalnym domu — powiedział Paweł — gdzie rodzice od rana wychodzą do pracy, to jak jedynaczka ma gripę, przynajmniej jest gdzie iść na wagary. Szczególnie zimą.

Zbladłam.

— Paweł — powiedziałam — zaczynam się zgadzać z twoją matką.

I on zbladł.

— No to koniec — powiedział. — To ja już idę.

I rzeczywiście poszedł, zanim zdążyłam coś wymyślić.

Wybiegłam na schody. Wpadłam na męża, który wdrapywał się powoli na górę, bo winda była nieczynna.

— Jestem rzeczywiście chory i mam zwolnienie od lekarza — powiedział nie bez tryumfu w głosie. — Grypa, ale nietypowa, z różnymi nieżytami. Pomyślałem, że dla ciebie może lepiej tak mieć dwoje chorych za jednym zamachem.

Potem wyciągnął z teczki małą paczuszkę, w której był storczyk. Dla mnie.

Potem przez dwie godziny karmiłam ich, zmywałam i przynosiłam im różne rzeczy. Potem poszłam na miasto.

Anuli kupiłam takie pismo, co nazywa się „Jazz”, a mężowi inne, co nazywa się „Żyjmy dłużej”. Dla udobruchania Pawła muszę zdobyć w sklepie ze starymi książkami jakiś numer amerykańskiego pisma, co, jak twierdzi Anula, nazywa się „Daun Bit”, chociaż mnie wydaje się to mało prawdopodobne.

TARTA MARCHEW

— Mnie przez święta przybyło kilo, a cioci? — powiedziała Anula.

— Nie wiem, nie ważyłam się.

— Na oko to cioci przybyło w talii.

— To dlatego, że noszę wełnianą bieliznę.

— Ja dziś jem tylko tartą marchew, a ciocia?

— Kotlety z ziemniakami, groszek, zupę ogórkową.

— Ciocia żartuje.

— Nie tylko nie żartuje, ale zaraz zabiorę się do gotowania, a ty mogłabyś pomóc.

— Nie mogę patrzeć na jedzenie — powiedziała krótko, nałożyła na siebie płaszcz i zawiązała chustkę na głowie.

— Dokąd?

— Muszę zrobić szybkim krokiem dwa kilometry. Pójdę do Pałacu Kultury i z powrotem.

— Dlaczego?

— Dla linii.

— To nałóż coś pod spód. Jest szesnaście stopni.

— Mnie nie zimno.

Machnęłam ręką. Niech już ma tę grypę. Najbezpieczniej jest, jak leży w domu, w łóżku, i bierze aspirynę. A tak, to nie wiadomo, co złapie.

Kiedy wyszła, nastawiłam zupę i poszłam do łazienki. Obejrzałam się dokładnie w długim lustrze na drzwiach. Najpierw z frontu, potem z profilu. Zmierzyłam talię. Bestia ma rację, przybył dobry centymetr. To ta gęś w Nowy Rok, a szczególnie to nadzienie.

Zmierzyłam jeszcze biodra. Dwa centymetry. Rozkładałam się nierównomiernie. To na pewno to spaghetti u Zielińskich, a szczególnie ten sos.

Wróciłam do kuchni. Utałam marchewkę i zakroiłam cytrynę. Obrałam ziemniaki. Przygotowałam kotlety.

Zadzwoiłam do matki Pawła.

— Paweł wrócił cały z zimowiska? — spytałam.

— Nawet chce do pani przyjść i złożyć spóźnione życzenia.

Przyszedł zaraz. Urósł przez te dwa tygodnie, ale mu tego nie powiedziałam.

— Jak było?

— Można wytrzymać.

— Utyłeś?

— Skąd? Schudłem. Byłem strasznie głodny.

— Cały czas?

— Cały czas.

— Jeść nie dawali?

— Dawali. Pięć razy dziennie.

— No więc?

— Ja byłem głodny między posiłkami, a nie jak jadłem.

Wyciągnął z kieszeni miseczkę z wypalanej gliny.

— Zrobiłem miseczkę dla pani na robotach — oświadczył. —

Popielniczka.

— Piękna. Doprawdy piękna.

Zarumienił się.

— Polewa się trochę rozlała.

— Bardzo nowoczesne — pochwaliałam go.

— Miały być nóżki, ale nie wyszły.

— Bez nóżek efektowniejsze.

— No tak, ale dostałem z tego minus, właśnie przez te nóżki.

— Nie rozumiem dlaczego?

— Bo było zadane z nóżkami.

— A za ten odcisk kciuka nie mieli pretensji? — spytałam fachowo.

— Nie, bo to jest miejsce na papierosa.

— Rozumiem.

— Ale palić nie pozwalają — objaśnił. — Popielniczki każą wypiekać. Potem każą kuć w metalu. Też z nóżkami.

— Politechnizacja — stwierdziłam.

Rozumieliśmy się.

Wykańczałam szybko obiad.

Anula i mąż weszli prawie jednocześnie.

— Jestem strasznie głodna i zmarznięta — krzyknęła Anula od progu.

— Myj ręce, zaraz nalewam zupę.

Dołożyłam nakrycie dla Pawła. Siedzieliśmy.

— Urosłeś — powiedział mąż do Pawła.

— Naprawdę? — ucieszył się Paweł. No, a ja się wystrzegam, żeby nie mówić takich rzeczy! — A pan jakby się poprawił.

Mąż przeprosił uprzejmie i poszedł do łazienki.

Po chwili wrócił, zjadł pół talerza zupy. Ja jadłam tartą marchewkę.

— Co tobie jest? — spytał.

— Tak dla cery, wiesz.

— Daj połowę.

Anula i Paweł zjedli wszystkie kotlety, ziemniaki i całą zupę ogórkową.

Potem wszyscy piliśmy herbatę. Mąż i ja bez cukru.

Potem Paweł pożegnał się, bo musiał wracać do domu na obiad. Anula poszła odrabiać lekcje. Ja z mężem zmywaliśmy po nich w milczeniu.

— Dla mnie na kolację tarta marchew — powiedział mąż krótko.

Kiedy weszłam do pokoju, Anula z podręcznikiem chemii w ręku robiła jakieś dziwne kroki na dywanie.

— Co to znowu? — spytałam.

— Ćwiczę podwójne lipsi — powiedziała sucho.

— Co to jest?

— My to tańczymy zamiast tanga, ciocia nie wie?

— Ciocia nie wie. Masz robić chemię.

— Właśnie robię. Nie można tak zaraz siadać po jedzeniu. Ale, zaraz, zaraz, przecież ciocia, mi zjadła całą moją tartą marchew. Ale na kolację to już murowane. Nic tylko tarta marchew.

Nałożyłam płaszcz, boty, wełnianą czapkę i rękawiczki . i poszłam przelecieć się do Pałacu Kultury. W powrotnej drodze kupię większą ilość marchwi.

ZDEJM WŁOSY

— Czy u pani jest gaz? — spytała matka Pawła przez telefon, bez żadnych wstępów.

Powąchałam.

— Nie — odpowiedziałam.

— Tb dobrze, bo u nas też nie. A światło?

— Nie wiem, ale zobaczę.

Światło było.

— A woda?

Zaniepokoiłam się.

— A bo co się stało?

— Zamarzamy — powiedziała matka Pawła krótko.

— Jest dwadzieścia cztery stopnie mrozu. Paweł czapki nie chce włożyć. Czy Anula chodzi do szkoły?

— Chodzi.

— Widziałam ją wczoraj z gołą głową na ulicy. Pani musi na nią wpłynąć.

— To nie jest goła głowa. To jest czapka z włosów końskich, tak zwana owłosianka. To bardzo modne.

— Jak to czapka? Miała przedziałek z prawej strony i dwa płaskie kosmyki na policzkach.

— Tak, tak, a dzisiaj zaciesała się do góry i na jedno ucho. Te końskie włosy znakomicie się układają.

— Co to jest? Peruka?

— Skąd? Czapka. Bywają w różnych kolorach.

— Pani ma?

— Nie, skąd, ale mogłybyśmy przymierzyć, jak ona pójdzie spać.

— Że też szkół nie zamykają w takie mrozy — powiedziała matka Pawła.

— Ojej, to mi nie wpadło do głowy — przestraszyłam się.

Dzwonek u drzwi zadzwonił na alarm. Anula. Czapkę miała zaczesaną na czoło j na policzki, nos siny.

— Szkoła zamknięta. Na trzy dni. Wypuszczają wodę z kaloryferów, ciocia rozumie. Nawet jakby się ociepliło, to trzy dni wolne.

Opuściłam rękę.

— Co będziesz robić?

— Jak to co? Jest kino, telewizja, poćwiczę bossa nova.

— A Konrad Wallenrod?

— Za nic dostać nie można,

— Zadzwonię jeszcze do jednej znajomej.

— Niech ciocia już nie dzwoni. Najlepiej będzie, jak mi ciocia opowie własnymi słowami. Ciocia chyba pamięta?

— Wujek ci opowie. Nie zjadłabyś czego?

— A „Lalkę” Prusa wujek opowie?

— Poczekaj do soboty. Wujek jest wolny po południu, to sobie pogadacie. -

— Kiedy ja idę w sobotę do teatru, więc nie mam czasu.

— Na co?

— Na „Hamleta”.

— Myśmy też z wujkiem chcieli iść, ale biletów nie sprzedają.

— Bo to idzie tylko dla szkół. Ciocia wie, lektura.

— Ale ja bym też chciała zobaczyć.

— To ciocia jeszcze „Hamleta” nie widziała?

— Widziałam, widziałam — zezłościłam się. — Nawet kilka razy.

— No więc?

— Ale nie to przedstawienie, rozumiesz.

— Jak ciocia koniecznie, chce, to ja może poproszę jakąś koleżankę, żeby cioci odstąpiła bilet, a ciocia jej potem opowie własnymi słowami.

— Dziękuję ci bardzo — powiedziałam sucho. — Poczekam, aż zaczną grać znowu kiedyś dla dorosłych. A teraz zdejm te włosy z głowy i napij się czegoś gorącego.

— Teraz zaczęli nakręcać po kolei wszystkie lektury szkolne — rozgadała się Anula przy gorącym mleku.

— Ciocia wie, na film, z gwiazdami. „Faraona” już kręcą w Egipcie. Było w gazecie. Tylko że nasza klasa to się już nie

doczeka. Trzeba będzie to wszystko czytać.

— Za to w teatrach przeważnie teraz lektury szkolne

— mruknęłam pod nosem. — Więc już nie narzekajcie.

— No tak. „Zemsta”, „Samuel Zborowski”, „Barbara Radziwiłłówna”, „Antygona”. To właściwie nie jest wszystko obowiązkowe, ale chodzić każą. Wolę kino — westchnęła.

— Ja też — wymknęło mi się.

— „Wojnę i pokój” ciocia zna?

— Pewnie, ale z tym to jeszcze poczekaj.

— Kiedy ja już widziałam. Z Audrey Hepburn, ciocia wie. Ona taka chudziutka. Jakby znowu kiedy grali, niech ciocia koniecznie idzie. Nawet z wujkiem. Tam są takie sceny batalistyczne.

— Wujek to czytał. Ja też. Myśmy czytali.

Anula zamyśliła się.

— To ja już pójdę trochę poćwiczyć — powiedziała po chwili.

Kubek po mleku zostawiła oczywiście na stole, ale zniosłam go sama do kuchni, umyłam, wytarłam i postawiłam na półce, bo w końcu jak już się wzięła do nauki, to nie będę jej przerywać.

Przez następną godzinę-było spokojnie, a ja stukałam zapamiętałe na maszynie.

Od okna wiało okrutnie, a szyby były zamrożone od góry do dołu. Ręce mi zgrabiały. Zrobiło się dość nagle ciemno, więc chciałam zapalić światło. Nie było. Z sąsiedniego pokoju dochodziło tupanie.

Weszłam do Anuli. Rzeczywiście tupiała.

— Dobry pomysł — powiedziałam i też trochę zaczęłam tupać.

— Ćwiczę — zadyszała się Anula — bossa nova. To taki nowy taniec. Tylko że elektryczności nie ma, więc melodia mi wysiadła. Ale to nic. Okropnie gorąco W tym pokoju.

Nic nie odpowiedziałam, tylko zacisnęłam zęby i poszłam do kuchni. Nastawiłam ziemniaki na trzymilimetrowym gaz, usiadłam sobie cichutko po ciemku i powoli uspokajałam się. Przypuszczam, że ci, co mają dzieci od samego początku, wytwarzają w sobie jakąś odporność, w miarę jak lecą lata.

PRAWDZIWIY INTELEKTUALISTA

Anula siedziała plecami wparta w kaloryfer i szyla. Z radia dochodziły dźwięki koncertu fortepianowego Rachmaninowa.

Stałam cichutko w drzwiach i patrzyłam - na nią z rozrzewnieniem. Zupełnie przedwojenny widok.

Przyjrzałam się bliżej jej robótce. Łatała niebieskie drelichowe, dość duże spodnie.

— Ciocia nie ma grubszej igły? — spytała. — Bo już poszły trzy. To strasznie twardy materiał.

— Zaraz zobaczę. To bardzo ładnie z twojej strony, że reperujesz koleżdze spodnie.

— Kiedy ja wcale nie reperuję.

— A co?

— Poszerzam u dołu.

— Za ciasne?

— Nie, za wąskie.

Myślałam, że wąskie modne.

— Już dawno nie. Ciocia nie zauważyła, że muszą być na dole rozszerzone, takim trójkątem.

— Nie zauważyłam.

— Muszą być.

— Chyba tak. Ale dlaczego pakujesz mu brązową łątę?

— Bo taką mi dał.

— Przecież to będzie widać.

— No właśnie. On nawet chciał białą, ale uważam, że to niepraktyczne na zimę. Wstawię mu na wiosnę, jak jeszcze będzie modne. Ciocia da tę igłę, bo ja się bardzo spieszę.

— Lekcje musisz odrobić?

— Nie, tylko to ma być gotowe na sobotę.

— Masz trzy dni czasu.

— Ale kiedy on się denerwuje, bo to jego jedyne džinsy i tymczasem musi latać jak wariat w szarych wełnianych spodniach.

Poszłam po grubą igłę do cerowania. Kiedy wróciłam, Anula wciąż słuchała tego Rachmaninowa. Wzruszyłam się.

— Daj te spodnie, to ci zrobię — zaofiarowałam się.

— Nie, ja muszę sama — westchnęła. — Przyrzekłam. Cioci się podoba ta muzyka?

— Bardzo — rozentuzjzmowałam się. — A tobie?

— Trochę nudne — westchnęła. — Ale ón chodzi tylko na takie koncerty i podobno ma pełno płyt z Szopenem.

— Od kiedy? — zdziwiłam się.

— O, od dawna. I uczy się grać na fortepianie. Ale na serio.

— Nic podobnego. Znam go prawie od urodzenia. Dwa lata temu był big bit, w zeszłym roku kuldżaz, a teraz jest trzeci nurt. O żadnym Szopenie mowy nie ma.

— Ciocia pewnie mówi o tym Romku, co mnie w zeszłym tygodniu dwa razy odprowadził do domu. To nie on.

— Kiedy ja myślałam, że to Paweł.

— Paweł? — zdumiała się Anula. — Skąd! Paweł to przyjaźń, ciocia rozumie?'

— A więc czyje są te spodnie. Mów zaraz.

— Nie mogę powiedzieć.

— Teraz widzę, że nawet nie są bardzo czyste.

— Niech ciocia go nie obraża!

— Ja go nie obrażam. Ja nawet nie wiem, kto on jest.

— A ja nie powiem.

Rachmaninow skończył się. Zaczęła się pogadanka, o kryzysie w NATO.

— Mów zaraz, kogo obszywasz. Co ja powiem twojej matce?

— Jak ciocia powie mamie, to ja cioci nigdy w życiu nic nie powiem o moim życiu wewnętrznym.

— Nie powiem matce.

— I tak nie powiem.

— Anula!

— Czy ciocia nie mogłaby nastawne jakiejś poważnej muzyki?

— Zaraz ci nastawię. Gdzie ty się spotykasz z tym chłopakiem?

— Jak to gdzie? W szkole.

— I gdzie jeszcze.

Jeszcze nigdzie, ale pewnie w sobotę będę musiała iść na koncert. Ciocia rozumie?

— Miałaś iść na prywatkę.

— On nie chodzi na prywatki.

— Anula, to mi się wcale nie podoba.

— Jakby go ciocia poznała, toby się ciocia zdziwiła.

— Może by tak przyszedł po ciebie w sobotę, tobym go obejrzała.

— Nigdy w życiu. On by się cioci wstydział na oczy pokazać.

— Bój się Boga! Mów zaraz wszystko!

— To ja już cioci powiem. On jest przebrany.

— Jak to przebrany?

— Za żuła, ciocia wie.

— Ciocia nic nie wie. Mów wyraźnie!

— No te dżinsy, wysokie gumowe boty, budrysówka z paskiem na biodrach, tyrolski kapelusik bez piórka.

— Zlituj się!

— No właśnie. Ale naprawdę, to on jest prawdziwy intelektualista. Już teraz ciocia rozumie?

— Jeszcze nie.

— Dla świętego spokoju. Żeby się go nie czepiali.

Zamilkłyśmy.

— Dawaj już te spodnie — powiedziałam po chwili

— bo mi złamiesz ostatnią igłę.

— Paweł ma rację — westchnęła. — Ciocia jest równa babka. To może nastawimy jakiegoś Szopena, a ja cioci poczytam na głos jego ulubione poezje. Ciocia zna Norwida?

GRUBY NIETAKT

Telefon zadzwonił.

— Czy jest Anula? — spytał gruby głos.

— Jest — odpowiedziałam rzeczowo.

Była w łazience. Leżała w wannie od pół godziny i czytała podręcznik do polskiego.

W telefonie facet oddychał, ale nic nie mówił.

— No więc? — spytałam wreszcie.

— Czy jest Anula? — znowu to samo.

— Owszem jest.

— Gzy można z nią mówić?

— Zaraz zobaczę. A kto mówi?

— Kolega.

— Domyślam się — powiedziałam łagodnie. — Ale czy kolega ma jakieś imię, czy nazwisko?

— Kolega z klasy — odpowiedział mi stanowczo.

— Ona już będzie wiedziała.

Poszłam pod drzwi łazienki. Słysząc było, jak Anula dolewa gorącej wody do wanny.

— Telefon do ciebie! — krzyknęłam.

— Kto mówi?

— Kolega.

— Ciocia powie, że mnie nie ma w domu.

— Nie będę kłamać. Wychodź z wanny, bo się osłabisz.

— Zaraz. Ciocia powie, że ja wyszłam i że zaraz wracam.

— Powiem po prostu, że się kąpiesz i żeby zadzwonił później.

— Za nic! — wrzasnęła jak oparzona. — Niech ciocia nie mówi takich rzeczy!

— Nie rozumiem, co w tym złego.

— Nic, tylko takich rzeczy się nie mówi. Ja zaraz wyjdę, niech on czeka.

Wróciłam do telefonu.

— Ona zaraz podejdzie, proszę poczekać — powiedziałam koledze. — Jest w łazience — dodałam taktownie, nie wspominając ani słowem o kąpieli.

Nastawiłam szybko koncert fortepianowy Szopena na cały regulator, bo domyśliłam się, że to pewnie ten nowy kolega Anuli, ten prawdziwy intelektualista i meloman. Niech wie, że dom jest kulturalny.

Anula jakoś się nie zjawiała.

Podniosłam słuchawkę.

— Halo powiedziałam.

— Cześć — odpowiedział intelektualista.

— To nie Anula — powiedziałam szybko. — Chciałam panu tylko powiedzieć, że to Rubinstein.

— Jak to Rubinstein? — zdziwił się. — Ja chciałem mówić z Anulą. Czy to dwieście jednaście trzy...

— Tak, tak, zgadza się. Rubinstein gra z londyńską filharmonią.

Odłożył słuchawkę powoli, cicho i ostrożnie.

Anula w szlafroku wpadła do pokoju.

— Zadzwoń do niego, bo on się wyłączył — powiedziałam i poszłam ściszyć Rubinsteina.

— Ja do niego! — oburzyła się Anula. — Co ciocia myśli? Dlaczego on nie czekał?

— Nie wiem — mruknęłam — może mu się nagranie nie podoba.

— Co ciocia mu powiedziała? — zaniepokoiła się Anula.

— Nic, nic, że jesteś w łazience. Ani słowa o kąpieli.

— O rety, ciocią zawsze musi udzielać informacji. Tego się teraz już nie robi. Nie mówi się, kto mówi, nie pyta się, kto mówi. W ogóle nie mówi się tyle. To jest przestarzałe. Ciocia powinna wiedzieć takie rzeczy.

— Nic złego nie powiedziałam.

— Ale mówiła ciocia?

— Mówiłam.

— No, właśnie.

Poszłam do łazienki. Woda stała w wannie, mydło utonęło, gąbka męża była na podłodze, ręcznik w umywalce.

— Anula — zawołałam słabym głosem.

Rubinstein mnie zagłuszał.

Poszłam do pokoju. Siedziała przy telefonie i gryzła paznokcie.

Wróciłam do łazienki. Umyłam wannę, wytarłam podłogę, powiesiłam ręcznik.

Otworzyłam puszkę zielonego groszku, zmieszałam z majonezem. Ona to bardzo lubi. Zaniiosłam do pokoju. Wciąż tak siedziała i nie ożywiła się.

Przyszedł mąż. Ucieszył się na widok groszku. zaproponował Anuli, żeby przestała ogryzać paznokcie.

Szopen skończył się. Było cicho i nieswojo. Telefon milczał.

Zrobiło się późno i Anula, bez dyskusji, poszła do łóżka. Zębów nie umyła, ale już nie powiedziałam.

W kuchni, kiedyśmy usiédli do małej partii kanasty, mąż zapytał jak zwykle:

— Co jej jest?

— Nic — powiedziałam — zrobiłam gruby nietakt, ale jeszcze dokładnie nie wiem, na czym on polega.

WSZYSTKIE PORY ROKU

Matka Pawła zaprosiła mnie na kawę do „Bider- majera”.

— Zje pani ciastko — powiedziała retorycznie.

— Zjem — zaskoczyłam ją. — A pani?

— Ja nie.

— Wątroba?

— Nie. Odchudzam się. Dwa kilo od świąt.

— Ubyło pani?

— Nie, przybyło.

— Hm.

— Zupełnie nowa dieta.

— Ciekawe.

— Je się trzy razy dziennie tartą marchew.

— I co jeszcze?

— Nic. Kawę można. Ale bez cukru. Zaczynam właśnie dzisiaj.

Kelnerka przyniosła dwie kawy i takie duże czekoladowe ciastko z kremem w środku.

— To przez Pawła — westchnęła matka Pawła.

— Szedł za mną tu kiedyś na ulicy i powiada, że mnie nie poznał z tyłu. Kiedyś nie zauważyłby, gdyby mi garb wyrósł.

— Zmienił się — stwierdziłam.

— Właśnie ja w tej sprawie do pani.

Słucham!

— Kazał mi powiedzieć, że oni się przeziębili.

— Kto taki?

— Anula i ten miody człowiek.

Zakrztusiłam się.

— Jaki młody człowiek?

— Ten, z którym ona chodzi.

— Proszę pani — powiedziałam, kiedy się wykaszałam — czy to wypada plotkować o dzieciach?

— To nie są plotki — oburzyła się matka Pawła i to nie są dzieci.

— Ja wszystko wiem. To jest bardzo porządny chłopiec. Intelktualista, meloman i miłośnik poezji przedwojennej.

— Jak on się nazywa? — zapytała matka Pawła chłodno. — Bo to pewnie nie ten sam.

— Nie wiem, jak się nazywa — powiedziałam pełnymi ustami.

— No widzi pani. Takie rzeczy trzeba wiedzieć.

— Musiałabym szpiegować.

— Jak się ma dzieci, to trzeba szpiegować.

— Więc co mam robić? — zdenerwowałam się. — Latać za nią?

— Czytać listy, podsłuchiwać rozmowy telefoniczne i, co najważniejsze, przeglądać szuflady od biureczka. One wszystkie piszą pamiętniki.

— Za nic.

— Właśnie dlatego się z panią umówiłam. Paweł powiedział mi, że oni się na pewno przeziębą.

— Dlaczego mają się przeziębować?

— Bo oni chodzą godzinami na mrozie po Alejach i gadają.

— Kiedy? — wyprostowałam się.

— Na przykład wczoraj po południu.

— Wczoraj po południu Anula miała kółko fotograficzne w szkole.

— Nic podobnego. Chodziła, i to bez szalika, po Alejach. A ten jej intelektualista w tyrolskim kapeluszu miał uszy spuchnięte i czerwone z mrozu.

— A Paweł skąd wie?

— Wyszedł się przelecieć, ale ma nauszniki.

Ja muszę z nim porozmawiać.

— Prosił, żeby pani nic nie mówić.

— To po co pani opowiada?

— On jest bardzo inteligentny, domyślił się, że ja pani i tak powiem.

— To był taki miły dzieciak — zamyśliłam się.

— Zmienił się. Rozmawia teraz ze mną. Opowiada mi różne rzeczy.

— Właśnie.

- Myje się codziennie.
- Ho, ho.
- Zęby szoruje dwa razy dziennie.
- Wyjadłam ostatnie .okruszyny z talerza.
- Wczoraj zasłał łóżko bez gadania.
- No tak.
- Przez całą niedzielę ani razu nie pokłócił się z ojcem.
- Tak, tak.
- Ojciec był tak wzruszony, że mu dał dwadzieścia złotych.
- Hm.
- Zmienia co dwa dni koszule i skarpetki. Można zwariować z tym praniem.
- No, widzi pani.
- Czyta Balzaka.
- Ja sobie zamówię drugie ciastko!
- Proszę bardzo, proszę bardzo.
- No więc niech pani już powie. Jak się nazywa ten chłopiec Anuli — powiedziałam.
- Staś. Pewnie od Stanisław.
- A dalej?
- Dalej to ja jeszcze nie wiem.
- No widzi pani. Każdy się może nazywać Stanisław.
- Dowiem się, niech się pani nie denerwuje.
- Ja się nie denerwuję. Tylko skoro ten Paweł już jest taki dorosły, to ja pani też coś powiem.
- Proszę.
- On też lata po Alejach i też nie sam. Ona nazywa się Jasia. Pewnie od Janina.
- On by mi lada dzień powiedział — oświadczyła matka Pawła po dłuższej chwili.
- Jeszcze jedno ciasteczko — powiedziałam do kelnerki. — Dla tej pani.
- Siedzieliśmy przez dłuższy czas i jadliśmy te ciastka.
- Pianista rozpoczął działalność rozrywkową. Na dworze zrobiło się ciemno. Do konsumpcji doszło 10 procent.
- No cóż — powiedziała wreszcie matka Pawła — już niedługo będzie wiosna, zrobi się ciepło.

- Śnieg stopnieje – dodałam.
- W Ogrodzie Botanicznym wszystko zakwitnie.
- Będzie można siedzieć na ławkach w parku.
- Pelisy wsadzi się do moli.
- Będzie zielona sałata i szczypiorek
- Włóży się nylony i normalne pantofle.
- Ja chyba obetnę włosy na krótko – powiedziała matka

Pawła.

- Ja chyba też.
 - Będzie się można położyć na trawie.
 - Zaraz, zaraz. O tym nie pomyślałyśmy.
- Pianista grał „Tango Milonga”.
- Wszystkie pory roku są niebezpieczne – westchnęła wreszcie matka Pawła. – Wszystkie.

KULTURYSTA

Umówiliśmy się z matką Pawła na wycieczkę do „Supersamu” warszawskiego. Ja poszłam szybko w stronę win, żeby zrobić niespodziankę mężowi, a matka Pawła ruszyła w stronę lodówek.

Dogoniłam ją wkrótce z koszem wypchanym po brzegi kompotem z gruszek z Bułgarii, dżemem truskawkowym z Rumunii i jakimś czerwonym winem z Jugosławii. Prawdziwy erwupegowski zakup.

Matka Pawła miała w koszu dwie główki zielonej sałaty, szczypiorek, natkę, rzodkiewki i właśnie przeglądała dokładnie celofanowe woreczki z bułgarskimi morelami.

— Czego pani tam szuka? — spytałam uprzejmie.

— Patrzę, które są dojrzalsze — odpowiedziała dość nieprzytomnie.

— No i co?

— Miałam takie jedne zupełnie dojrzałe, ale odłożyłam je na chwilę, i ktoś mi je podkupił — powiedziała, nie podnosząc głowy. W supersamach nikt nie podnosi głowy.

Przy kasie okazało się, że zakup matki Pawła, wbrew pozorom, jest droższy od mojego. Pożyczyłam jej dwanaście złotych i byłam bardzo zadowolona.

— Te surówki wpędzą mnie do grobu — westchnęła, gdyśmy się znalazły na ulicy.

— Państwo przeszli na jarską kuchnię?

, — Nie, skąd! Żeby! Tylko Paweł dostał manii zdrowotnej i dyktuje mi ostatnio menu. Mięso chciałby codziennie. Mówi, że od mięsa przybywa mięśni. Je ser, bo tam podobno jest fosfor czy coś takiego, chociaż ja tego nie zauważyłam. Słodycze musi jeść, bo to jakoby odżywia mózg. Jak odrabia matematykę, to chrupie landrynki, aż się niedobrze robi.

— Skąd to u niego?

— Pojęcia nie mam. Miewa takie różne manie. Teraz

przechodzimy okres zainteresowania ciałem, rozumie pani?

— Rozumiem.

— No i te surówki. Dotąd za nic nie chciał ich brać do ust, a teraz? Je surową kapustę, wciąż prosi o owoce, więc ja kupuję te mrożone. Nawet tartą marchew zjada bez zmruczenia powiek.

— Jak to?

— Daję słowo. Mówi, że to na cerę. Mnie też każe jeść, ale nie mogę.

— Ciekawa jestem, kto tak na niego wpływa?

— Szczerze mówiąc, myślałam, że pani — powiedziała matka Pawła.

— Ja? — oburzyłam się. — Ja surówek do ust nie biorę. A bułgarskie owoce mrożone są dla mnie za drogie.

— Dla mnie też — westchnęła matka Pawła. — Musiałam wydać wszystko, co zaoszczędziłam przez zimę na kostium wiosenny. Mąż się zdenerwuje, jak się dowie.

— Paweł i tak jest za wysoki jak na swój wiek — powiedziałam fachowo.

— Ale kiedy on się martwi, że nie jest dość barczysty. Z tygodniówki uzbierał sobie i kupił takie sprężyny do rozciągania i takie ciężary do podnoszenia. Parę tygodni do kina nie chodził.

— On się bardzo zmienił — westchnęłam. — To był taki dobry dzieciak.

— Zamyka się rano na klucz i ćwiczy piętnaście minut. Mówi coś o boksie, ale nie wiem, czy się mąż zgodzi.

— Dlaczego nie?

— Sama nie wiem, ale wydaje mi się, że mąż wcale nie chce, żeby Paweł był od niego silniejszy. Wystarczy, że już jest wyższy. Z tym też mam kłopoty.

— No tak — powiedziałam filozoficznie. — Mąż już nie urośnie, żeby mu nie wiem co dawać do jedzenia.

— Proponowałam mu, żeby poszedł na kurs judo

— powiedziała matka Pawła.

— Co takiego?

— To japońskie walki. Noszą krótkie białe koszulki, kłaniają

się sobie, potem albo pakują kciuk do oka przeciwnika, albo przerzucają go sobie przez łopatkę.

— Na co to?

— To bardzo pożyteczne. W razie napadu żuli, w mgnieniu oka wszyscy porozkładani na chodniku, a napadnięty tylko zaciera ręce i idzie dalej.

— Może byśmy się też zapisały? — zaproponowałam z entuzjazmem.

— Już też o tym myślałam — westchnęła matka Pawła

— ale Paweł nie zgodzi się.

— Ja bym Anulę zapisała.

— Może pani z Anulą, ale on mi nie da.

— Dlaczego?

— Bo widzi pani, on jest kulturysta.

— Co takiego?

— Kulturysta. Mięśnie wyrabia. Pani wie. Chce mieć taki tors cały w mięśniach i bicepsy jak na zdjęciach zapaśników.

— To straszne!

— Tak, tak.

— A to judo, to co?

— Inne mięśnie wyrabia.

— No trudno — westchnęłam.

Szłyśmy w milczeniu. Gdy zbliżyłyśmy się do domu, zobaczyłyśmy Pawła z kilkoma kolegami. Szli, powłócząc jak zwykle nogami, mieli wszyscy jedno ramię wyższe, a jedno za to niższe, ale każdy inne, i byli zgarbieni. Rozmawiali za to z ogromnym ożywieniem.

Zwolniłyśmy kroku, żeby nas czasem nie zauważyli. Po chwili matka Pawła spojrzała na swoją siatkę pełną najdroższych surowych wiktuałów i westchnęła głęboko. Wskazała na nich głową i powiedziała ponurym głosem jedno słowo:

— Kulturyści.

ANTYBARANY

Matka Pawła przyniosła mi klucz od mieszkania, powiedziała, że Paweł ma grypę i żebym może zajrzała do niego w ciągu przedpołudnia, kiedy nikogo nie będzie w domu.

Poszłam koło pierwszej, wygrzebawszy ostatnią cytrynę, którą chomikowałam w piasku jeszcze od stycznia. Była trochę miękka, ale jeszcze całkiem reprezentacyjna.

Leżał w swoim pokoju, nakryty kołdrą po sam nos, i słuchał jakiejś muzyki jazzowej przez radio.

Chciałam się dyskretnie wycofać, żeby mu nie przeszkadzać w tym słuchaniu, ale przekręcił szybko guziczek.

— Cześć — powiedziałam.

— Cześć — odpowiedział, — ć niepotrzebne — dodał.

— Cześć — powtórzyłam. — Rzeczywiście, nie widzę, po co to „Ć”.

Uśmiechnął się.

— Słuchałeś czegoś ciekawego? — spytałam.

— Skąd? Jakiś big bit. Straszna chała.

— No to po co słuchasz?

— Człowiek musi wiedzieć, co ci big bitowcy robią — powiedział. — Coraz gorzej z nimi — dodał z satysfakcją. — Wykańczają się.

— Co ty mówisz?

— Przepowiadam im rychły koniec. Co inteligentniejsi ludzie przestają tego słuchać.

— Właśnie — powiedziałam. — Może ci wycisnąć cytrynę.

— Czytałem, że odwapnia — mruknął. — Marchewka tarta podobno lepsza.

— Ostatnia cytryna w tym sezonie — kusiłam.

Nie odpowiedział, tylko leżał spokojnie, zupełnie jak chory chłopiec.

Zaniepokoiłam się.

— Owczy pęd — powiedział nagle. — Wszyscy gonią za tym

samym. Jak cytryny, to cytryny. Jak kapelusiki tyrolskie, to kapelusiki tyrolskie, jak big bit, to big bit. Barany.

Zaniepokoiłam się jeszcze bardziej.

— Gorączkę mierzyłeś?

— Mierzyłem. Mam — powiedział krótko.

— Aspirynę wziąłeś?

— Wziąłem, wziąłem — mruknął. — Asprocol, a nie żadną aspirynę. Teraz się bierze asprocol, pani wie. Kiedyś to zaraz dawali penicylinę. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze dziecko, to nic tylko penicylina i to prokainowa. Taka była moda. Barany.

— Paweł — powiedziałam surowo — tobie coś jest.

— Grypę mam — warknął — a poza tym wszystkiego dosyć.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Pokłóciłeś się znowu z ojcem? — spytałam.

— Skąd? Z ojcem jestem w najlepszej komitywie.

Nauczyłem się już z nim obchodzić. Ostatecznie znam go już te parę lat — dodał.

— Mówiłam ci zawsze, że to bardzo dobry człowiek — pochwaliłam się.

— Tak, tak — powiedział. To też nie był temat na dzisiaj.

Poszłam do kuchni. Wycisnęłam tę cytrynę, zrobiłam mu lemoniadę. Głupio mi było wyjść.

— Może ci czegoś trzeba do czytania? — spytałam.

— Dziękuję, mam Dostojewskiego.

— To ty to czytasz?

— Próbuję czytać to, czego teraz nikt nie czyta. Akcja odrywania się od baranów — uniósł się.

— No i co?

— No, jakoś mi idzie, chociaż to ciężka robotą

— przyznał się. Spojrzał na mnie jakoś życzliwiej, wypił lemoniadę. — Łatwiznę zostawiamy baranom — zamamrotął.

— Pani jest poza stadem — zawyrokował po chwili.

Ucieszyłam się szczerze.

— No tak — powiedziałam i wyprostowałam się na krześle.

— Założyliśmy stowarzyszenie antybaranów — powiedział

po chwili śmiało. — Pani się nie wygada. Słowo?

— Słowo.

— Jak barany szerokie spodnie, to my wąskie. Jak barany berety, to my z gołą głową. Jak barany na łyżwach, to my na pływalnię. Pani rozumie?

— Rozumiem. A dużo was jest?

— Chwilowo trzech. Z dziewczynami sześć.

— No to nieźle.

— Ale to nic. Pani zobaczy za kilka miesięcy. Wszyscy się do nas przyłączą.

— No tak — powiedziałam — barany.

Wstałam, żeby pójść.

— Szkoda, że nie można pani przyjąć do antybaranów — powiedział Paweł na pożegnanie.

— Bardzo żałuję — powiedziałam uprzejmie — jestem pewna, że byłby ze mnie niezły antybaran.

Już w przedpokoju usłyszałam znowu dźwięki muzyki jazzowej. Paweł podsłuchiwał wroga.

WAHANIE

W kuchni zastałam Anulę i Pawła. Siedzieli przy stole i oglądali jakiś cieniutki magazyn.

— Cześć — odezwałam się.

— Cześć, cześć — powiedzieli.

— Czy ciocia mogłaby pomóc z tym angielskim? — spytała Anula.

— Cóż to, lekcje razem odrabiacie? — zdziwiłam się.

— Skąd? Próbujemy przeczytać ten magazyn. Ciocia wie. Brenda Lee.

— Nie znam tego słowa, ale mogę zajrzeć do słownika — spieszyłam się.

— Brenda to imię, a Lee to nazwisko. Taka śpiewaczka angielska — powiedział Paweł bardzo cierpliwie. Od czasu tej ostatniej grypy spowolniał.

— Oczywiście.

— To jest taki magazyn jej wielbicieli. Wychodzi w Anglii, ale czytają go wszędzie — objaśniała.

— Chała — stwierdził Paweł zwięźle.

— To dlaczego przyleciałeś, jak ci tylko powiedziałam, że go mam?

Zaległa cisza. Paweł myślał, co odpowiedzieć. Myślenie idzie mu opornie na wiosnę.

— A skąd go masz? — zainteresowałam się.

— Właśnie. — ucieszył się Paweł. — Pewnie od jakiegoś żuła.

— Nic podobnego. Od Stasia — obraziła się Anula.

— Ale niech już ciocia powie, co znaczy to zdanie.

— Jakie zdanie?

— O tu. Z listu jednego wielbiciela.

— Cycling is my hobby — przeczytałam ze znakomitym akcentem.

— Właśnie — odezwał się Paweł.

– Rower to mój konik – powiedziałam bez zająknięcia.
– Chyba coś nie tak – stwierdziła Anula.
– Właśnie – powiedział Paweł.
– Hobby to konik – powiedziałam sucho. – A cycle to rower. – Cycling to jazda na rowerze. On po prostu uwielbia jeździć na rowerze.

– Jakiś niedorozwinięty – stwierdziła Anula.
– Właśnie – powiedział Paweł.
– Nie będę do niego pisała nadąsała się Anula.
– Poczekam, aż jego konikiem będzie samochód.
– Właśnie – powiedział Paweł.

Anula spojrzała na niego podejrzliwie.

– Co ty masz z tym właśnie?

– No nic. Szkoda gadać.

Znowu się robi małomówny, pomyślałam. Jego matka od tego zwariuje.

– Jak leci? – zagadnęłam go.

– Leci – stwierdził.

– Za rok matura – wymyśliłam.

– Właśnie – potwierdził.

– I co?

– Ciocia pyta i co? – zdenerowała się Anula.

– Co i co? – obudził się.

– Nic. Pytam, co będziesz robił po maturze?

– To zależy.

– Od czego?

– W ogóle.

Zaległo milczenie.

– Staś idzie na historię – powiedziała Anula z dumą.

– No to co? – ożywił się Paweł.

– Nic, ale przynajmniej wie, czego chce.

– No i co? Będzie uczył w szkole – wzdrygnął się Paweł.

– Właśnie – powiedziała Anula.

– Takie gęsi jak ty.

– Kto to jest ten Staś? – zainteresowałam się.

– Intelktualista – objaśnił Paweł.

– Czepiaj się, czepiaj – uniosła się Anula.

— Może wam zrobić kakao? — spytałam szybko.
— Nie, dziękuję — odpowiedzieli chórem. — To już nie te czasy.
— Ona wciąż chce być gwiazdą filmową — wyrzucił z siebie Paweł.
— Nic podobnego — zaczerwieniła się.
— Sama mi mówiłaś — poparłam go.
— Ciocia, kiedy to było? Chyba z pół roku temu.
— No tak.
— Byłam jeszcze bardzo młoda.
— Tak, tak — zgodziłam się. — A masz jakie nowe plany?
— Może pójdę na historię — powiedziała dość niepewnie.
— Przecież ciebie to nigdy nie interesowało?
— Właśnie — odezwał się Paweł znacząco.
— No to jak z wami będzie po maturze?
— Prawie nikt w klasie nie wie — mruknął Paweł.
— Tylko paru geniuszów. Może dwóch — dodał.
— A reszta?
— Jak polecą — westchnął,
— Jak się nie ma specjalnych talentów — powiedziała Anula
— to można zawsze na socjologię.
— To są mądrości tego jej intelektualisty — zaperzył się Paweł. — Może właśnie pójdę na socjologię. Tylko że straszny tłok.
— Właśnie — krzyknęła Anula.
— Archeologia? — zasugerowałam.
— Strasznie dużo kopania — zmartwił się Paweł.
— Kto ma na to siły.
Rzeczywiście nie wyglądał, jakby miał na to siły.
— Staś mówi, że to bzdura — powiedziała Anula — bo gdzie by się nie kopało, to się musowo coś wykopie, bo wszędzie, gdzie byli ludzie, to jest coś zakopane, a w Europie to ludzie byli wszędzie.
— Tu coś nie gra — obudził się Paweł. — Ty nawet nie umiesz powtórzyć dobrze, co ten twój intelektualista gada.
— Ty byś też nie potrafił — powiedziała krótko. Paweł podniósł się ociężałe z krzesła.

— To ja już pójdę — oświadczył.

Pożegnał się i z trudem zamknął za sobą drzwi. Westchnęłam niechęć.

— Niech się ciocia nie martwi o niego — powiedziała Anula niedbale. — On dobrze wie, czego chce.

— Tak?

— No tak. Medycyna albo Szkoła Sztuk Pięknych.

— Daj spokój. Co ma jedno do drugiego.

— No właśnie. Dlatego on jest taki dziwny. Bo widzi ciocia, on się waha.

JAK ŚWIĘTA TO ŚWIĘTA

Matka Pawła siedziała na balkonie i próbowała się opalać przy wiosennym słońcu. Zobaczyła mnie, gdy wracałam ze spaceru w Alejach, gdzie wszyscy warszawiacy wietrzyli wyjętą z moli garderobę. Była niedziela wielkanocna.

— Jestem sama — zawołała — nie przy szłaby pani? Poszłam.

Posiedziałyśmy sobie, zakasawszy rękawy od bluzek. Było zupełnie ciepło.

— Gdzie Anula? — spytała matka Pawła.

— W Zoo ze swoim ojcem i z moim mężem.

— No tak — westchnęła matka Pawła.

— A Paweł? — spytałam.

— Ze swoim ojcem na wystawie elektryfikacji.

— Co się stało? — zaniepokoiłam się.

— Nic. Zaprzyjaźnili się ostatnio.

— To znakomicie.

— Bo ja wiem. Ciągłe idą gdzieś we dwójkę.

— To świetnie, nie?

— Świetnie, świetnie — zgodziła się matka Pawła.

— Trzeba było mieć córkę.

— Ojcowie też wolą córki — zamyśliłam się. — Nawet mi nie zaproponowali tego Zoo. Mogłybyśmy się wybrać razem. Tam się urodziły małe niedźwiedzie.

— Bez dzieci do Zoo? — oburzyła się matka Pawła.

— Ludzie by się za nami oglądali.

— W ogóle będziemy niedługo zupełnie bezdzietni

— powiedziałam. — Anula wraca do rodziców. Paweł już się nie liczy.

Matka Pawła tylko westchnęła.

— Trzeba się, będzie jakoś przestawić — powiedziała.

— Właśnie myślę o tym ostatnio. Mam nagle masę Wolnego czasu.

Grzałyśmy się przez dłuższą chwilę.

— Może bym poszła na jakie kursy wieczorowe

— odezwała się matka Pawła.

— Metodyści — zaproponowałam.

— Nie mam talentu do języków — stwierdziła.

— Uniwersytet dla rodziców?

— Za późno.

— Kursy kroju i szycia?

— Jakbym miała córkę, toby było dla kogo szyć. A tak?

— No tak, garnituru męskiego się nie uszyje.

— Nie uszyje się.

Matka Pawła podała mi tubkę z kremem. Wysmarowałyśmy sobie twarze i ręce.

— Pani nie wie, o czym oni mogą rozmawiać na tych spacerach? — powiedziała nagle matka Pawła.

— Czy ja wiem. Może o kosmosie.

— Mój mąż się na tym nie zna.

— Ale Paweł bardzo się interesuje tymi sprawami.

— Naprawdę?.

— Mówił, że sam poleciałby bez gadania na Księżyc.

— Dlaczego mi pani nic nie powiedziała? To szalenie niebezpieczne.

— Chwilowo nie ma o tym mowy.

— Nic nie wiadomo — westchnęła matka Pawła.

— Oni nigdy nie mówią, dokąd idą, a potem się okazuje, że byli w opałach.

Ptaszki ćwierkały na podwórku.

— A Anula? — zainteresowała się nagle matka Pawła.

— Dlaczego ona ze starszymi panami lata po mieście, a na przykład z nami za Boga by nie poszła, co?

— Z jakimi znowu starszymi panami? Mój mąż nie ma ani jednego siwego włosa — powiedziałam. — Trzeba go było widzieć, jak ładnie się ubrał na ten spacer. Buty wypucował. Rękawiczki pekary nałożył. I jasnoszary, zeszlóroczny kapelusz.

— Ja to bym poszła z nimi — stwierdziła matka Pawła sucho.

- Nie poszłaby pani.
- Anula już nie jest takim dzieckiem, jak się pani zdaje
- powiedziała matka Pawła groźnie.

Zamyśliłyśmy się.

— To ja już chyba pójdę — powiedziałam — i naszy- kuje stół. Zaraz przyjdzie kupa ludzi. A pani?

— Ja też. Dostała pani wszystko?

— Wszystko.

— Ja też. Nic w tym roku nie można było dostać.

— Nic. Masło pani ma?

— Mam. A pani?

— Ja też. Szynkę pani dostała?

— Dostałam. A pani?

— Też. Za dużą.

— Cytryny?

— Mam.

— My też.

— Mazurki?

— Cztery.

— Ja pięć.

— Ale się człowiek wystął w kolejkach!

— Jeszcze jak. Przeczytałam całą „Trylogię”.

— Na placu Zbawiciela był ogon aż na ulicę. Postąpiłam trochę, ale okazało się, że to do Grobów.

— No, ale teraz trzy dni spokoju.

— To ja już pójdę. Do widzenia, smacznego.

— Do widzenia. Nawzajem.

— Może byście przyszli coś zjeść wieczorem przy telewizji?

— Dziękuję, jeszcze zadzwonimy.

Poszłam do siebie, nakryłam do stołu, otworzyłam okno i wychyliłam się, żeby zaczerpnąć powietrza.

Ulicą przevalały się tłumy ojców z dziećmi.

Ojcowie wlekli się zmęczonym krokiem, a dzieci były przegrzane i dreptały gęsto i niechętnie. Niektóre miały baloniki.

Nagle zobaczyłam mojego męża i ojca Anuli w towarzystwie czterech młodych dziewcząt. Rozmawiali na cały głos i co

chwila wybuchali śmiechem. Przed bramą naszego domu całe towarzystwo zatrzymało się i rozpoczęły się długie pożegnania. Panowie i Anula zostali, a trzy panienki ruszyły dalej.

— Hop, hop! — zawołałam.

Spojrzeli w górę. Mąż szybko nałożył kapelusz i zaczął wkładać rękawiczki.

Weszli do bramy.

Pobiegłam do łazienki, starłam krem z twarzy, upudrowałam się, jeszcze piorunem włożyłam pantofelki na wysokich obcasach.

— Trzeba było zaprosić koleżanki — powitałam ich z uśmiechem.

— One musiały iść do domu — powiedziała Anula.

— Ale mogę to zrobić jutro.

— Jutro pójdziemy wszyscy razem do Łazienek karmić wiewiórki — powiedziałam stanowczym tonem.

— Jak święta, to święta.

DŻEM I KONFITURY

— Czy mogłabym trochę u państwa posiedzieć? — zapytała matka Pawła od drzwi.

— Prosimy, prosimy — powiedziała automatycznie.

Mąż siedział w szlafroku i rannych pantoflach w pokoju i czytał „Monitora Polskiego”, ostatnie pismo w Polsce, które, jak twierdzi, pisze prawdziwą polszczyznę. Ja robiłam w łazience małą przepierkę i miałam świeżo umytą, ale jeszcze nie wyschniętą głowę.

— Może przeszkadzam?

— Ależ skąd! — krzyknęłam na cały głos, żeby spłoszyć męża. Rzeczywiście pojawił się w przedpokoju w mgnieniu oka.

— Pali się? — zapytał rzeczowo.

— Zaraz sobie pójdę — przestraszyła się matka Pawła.

— Ależ skąd. Niech pani sobie siądzie na brzegu wanny — zapraszałam serdecznie. — Tylko wyzmę bieliznę. Wyżymam. Powyżymam. Jak to się właściwie mówi?

— Wycisnę wodę — zaproponowała matka Pawła.

Wyciskałam.

— Mąż źle się czuje? — zapytała matka Pawła taktownie.

— Nie, skąd, ale on zawsze tak chodzi w sobotę po południu, szczególnie jak Anula wychodzi z domu.

— Jest u nas — powiedziała matka Pawła.

— Na prywatnie? Mówiła, że idzie na prywat.

— Nie. Jest ich tylko czworo i robią dżem.

— Na litość boską. Jeszcze pani zrujnują kuchnię.

— W pokoju.

— Jak to?

— No tak.

— A z czego?

— Jak to z czego?

— O tej porze roku nie ma z czego robić.

— Dla nich nie ma pór roku — powiedziała matka Pawła tajemniczo.

— No tak, w ich wieku nie odczuwa się nawet zmian ciśnienia — westchnęłam.

— Ani temperatury. Paweł znowu wyszedł do szkoły bez kurtki, a było rano siedem stopni.

— Ogrodnicy — powiedziałam.

— Kto?

— No, ci trzej, pani wie, co od nich zimno.

— Aha.

Poszłam do kuchni porozwieszać i przy okazji nastawiałam wodę na herbatę.

Zanim woda się zagotowała, pojawił się w kuchni mąż. Miał na sobie swoje lepsze ubranie i czerwony krawat.

— Herbata? — zapytał,

— Będzie zaraz.

— Gdzie Anula?

— Robi dżem.

— No, no — ucieszył się mąż. — Jak to dziecko dorośleje z dnia na dzień. A z czego?

— Właśnie, z czego? — zwróciłam się do matki Pawła prawie agresywnie.

— Nie wiem dokładnie — speszyła się. — Bo musiałam wyjść z domu. Paweł mnie tak ładnie prosił. Może z Gershwina albo z Berlina.

Spojrzeliliśmy na nią ze zgrozą. Wyglądała zupełnie jak zwykle.

Zamilkliśmy.

Matka Pawła zorientowała się.

— Oni robią dżem muzyczny — roześmiała się trochę sztucznie.

— Az czego to się robi. Z buraków? — zapytał mąż, który nie umie się powstrzymać od ironii, oczywista oznaka braku wychowania.

Przestraszyłam się, że matka Pawła się obrazi.

— Dżem muzyczny — zachichotałam szybko — to pewnie znaczy, że dziewczęta smażą, a chłopcy im do tego

przygrywają i śpiewają.

— Bardzo przepraszam — powiedziała matka Pawła dostojnie. — Ale zaistniało nieporozumienie. Dżem to jest dżem sezon, to znaczy, że oni siedzą i grają z głowy, bez nut.

— Zamiast z nut i bez głowy — mruknął mój mąż pod nosem.

— Przepraszam? — spytała matka Pawła.

— A na czym oni też grają? — zainteresowałam się.

— Na gitarach i trąbce z towarzyszeniem orkiestry.

— Jakiej orkiestry?

— Z płyt — zniecierpliwiła się matka Pawła.— Z płyt gramofonowych.

— Dziwne dzieci — powiedział mój mąż na boku. Potańczyliby.

— Nie można grać i tańczyć na raz — objaśniła matka Pawła — a oni wolą ten dżem.

Nalałam trzy szklanki herbaty i wyciągnęłam ostatni słoik konfitur z truskawek.

— Dżemu nie mam, ale dam wam konfitur i herbatniki dwudziestego drugiego lipca.

Mąż wziął tacę i matkę Pawła, i poszli do pokoju. Ja zaczęłam się trochę doprowadzać do jakiego takiego stanu. Gdy pudrowałam nos, usłyszałam z pokoju dźwięki muzyki tanecznej, więc szybko się uwinęłam.

Matka Pawła i mój-mąż tańczyli sobie slow-fbxa w najlepsze, a herbata i dżem, przepraszam, konfitury stygły na stoliku.

STATYSTYCZNIE LEŻYSZ

Nie było rady, musiałam na wywiadówkę do szkoły Anuli posłać męża. Nie chciałam się narażać na spotkanie z Felkiem Smykalskim.

Wy tłumaczyłam mężowi, że mam szaloną migrenę, położyłam się w biały dzień do łóżka i zasunęłam rolety, tak że, przerażony, tylko rozglądał się za jakimś pretekstem, żeby móc Wyjść z domu.

Nie było go dość długo. Gdy wrócił, miał wypieki na twarzy i był w niezwykle dobrym humorze. Nawet się nie zdziwił, że mi tak szybko przeszła migrena i nawet nie zapytał, jak się czuję, co mnie zdenerwowało, ale nic nie powiedziałam.

Anula siedziała ze mną w kuchni, dosyć blada, i cerowała mężowi skarpetki, co jest oznaką jak najgorszą. Jak ją tylko zobaczyłam z igłą i nitką, to zaczęłam smażyć placki kartoflane na pocichę.

Mąż zasiadł do tych placków, jakby trzy dni nie jadł.

— No i co? — spytałam. — Jak tam było?

— Spotkanie upłynęło w wyjątkowo serdecznej atmosferze — powiedział. Spojrzałyśmy na siebie z Anulą w milczeniu. Przecież on nie pije.

Sięgnął przez cały stół po nowego racucha. Przecież on nigdy nie sięga.

— Byłeś jeszcze gdzieś? — zaryzykowałam.

— Owszem — uśmiechnął się z pełnymi ustami. On tego nigdy nie robi.

— Gdzie? — spytałam stanowczo.

— U Fukiera.

— U Fukiera?

— U Fukiera.

— A co ze mną?! — wrzasnęła Anula.

— Uspokój się — ofuknął ją mąż, on, który nigdy nikogo nie ofukuje. — Przez ciebie tam byłem. Wcale niezły lokal —

dodał.

— Tam się pije — powiedziałam znad patelni.

— Wino — zaśmiał się mąż.

— No dobrze, ale co ze mną? — odważyła się znowu Anula.

— Zaraz ci powiem, to nie takie proste. Zresztą nie mam jeszcze wszystkich danych. Spodziewam się telefonu.

— Jakiego znowu telefonu?

— W sprawie twoich dwój.

— Jak to, czy ja mam dwóje?! — rozhisteryzowała się Anula.

— Naturalnie — stwierdził mąż sucho.

— Kiedy ja nie miałam ani jednej przez cały okres — uniosła się Anula.

— Indywidualnie to nie masz, ale statystycznie leżysz — powiedział mąż tajemniczo. On, który jest taki nieskomplikowany.

— Niech wujek już mówi normalnie, bo ja nie wytrzymam.

— Właśnie dlatego byłem u Fukiera.

— Co ma Fukier do moich stopni, ciociu?

— Co ma Fukier do jej stopni?

— Myśmy tam poszli, żeby zrobić obliczenia.

— Błagam cię, mów co i jak.

— No, bo z każdego przedmiotu wychowawczynie odczytała, ile jest dwój i zaczęła mówić, ile to przypada na uczennicę. Strasznie skomplikowane.

— No i co?

— No właśnie. Z matematyki na przykład na nią wypada... Zaraz wam powiem.

Wyciągnął notes z kieszeni.

— Mam. Jedna i trzy dziesiąte dwói.

— Na mnie? Nic podobnego.

— Na ciebie. Obliczył to bardzo dokładnie jeden ojciec, co akurat pracuje w Głównym Urzędzie Statystycznym.

— A co z polskim?

— Dwie i jedna siódma — odczytał mąż z notesu.

— Niemożliwe.

— Jak to, niemożliwe. Z fizyki za to stoisz nienaj- gorzej. Tylko zero i trzy ósme.

— Z fizyki miałam zawsze czwórkę — wrzasnęła Anula.
— Masz, masz, ale indywidualnie.
— Mnie tylko obchodzi to, co indywidualnie.
— Może ciebie, ale szkołę nie. Szkoła pracuje statystycznie.
— To coś nowego.
— Nic nowego. Od lat tak jest. Z chemii masz dwie i jedną trzecią, to skandal.
— Jak ciocia-chodzi na wywiadówki, to nic podobnego nie opowiada.
— Bo pewnie ci nie chce robić zmartwienia. Ale jak wasza wychowawczyni odczytała tę statystykę, to ja i ten ojciec z GUS-u zaczęliśmy notować. A potem poszliśmy dokłaideie obliczyć. Jest bardzo niedobrze.
— Sami poszłicie obliczać? — spytałam zniecka.
— W kilka osób, ale to nieważne.
— A były jakieś matki?
— Były. Jedna, może dwie.
— Ile to wypadła statystycznie na każdego z was? — zapytałam wcale nieźle.
— Nie wiem, nie wiem — zaperzył się — ale poczekajcie, z Przynależności Wojskowej to te dziewczuchy mają aż trzy i dwie trzecie dwóji na łebka.
— Ja mam trójkę, to wiem na pewno — powiedziała Anula.
— Co tam twoja trójczyna, ale jak wy wyglądacie jako całość!
— Poproszę o dzienniczek — powiedziała Anula cicho.
— Nie mam go. Jest u tego statystyka. On jeszcze musi różne rzeczy posprawdzać.
Anula zamilkła jak rażona piorunem.
W pokoju zadzwonił telefon.
Mąż zerwał się i pobiegł.
Wrócił po chwili już w płaszczu i kapeluszu.
— Wrócę za jakie dwie godziny — powiedział nakładając buty. — Musimy skończyć obliczenia.
— Ale nie martw się — powiedział spojrzawszy pobłaźliwie na Anulę. — Podobno ze sprawowania nie ma ani jednej dwójki. Za to przeciętnie wypadła na uczennicę cztery przecinek dwa. To wcale nie jest tak źle.

WYPRZEDAŻ

Ze schodów dochodziły dźwięki ciężkich kroków i jakieś poważne sapanie. Otworzyłam drzwi i wyszłam do sieni.

Paweł z jakimś kolegą znosili dość ciężką pakę. Poruszali się bardzo ostrożnie, jakby nieśli materiał wybuchowy.

Przystanęli koło mnie i podyszeli sobie trochę.

— Co niesiesz? — spytałam.

— Płyty — powiedział. Podszedł do mnie, podał mi rękę, nachylił się, jakby ją chciał pocałować. Potem cofnął się o krok i przedstawił kolegę.

Przestraszyłam się.

— Kołuszkiewicz — powiedział Paweł o koledze.

— Bardzo mi miło — odpowiedziałam odruchowo i spojrzałam na Pawła ostro. Kpi czy co?

Przedstawiłam się koledze. Kolega buchnął mnie w rękę.

Zrobiło mi się głupio, bo przed chwilą nakroiłam cebuli do sałatki i tylko splukałam ręce zimną wodą.

— Co słyhać? — spytałam, żeby ich zatrzymać chwilę i zorientować się w sytuacji.

— Jedziemy na Mazury — powiedział Paweł. — Za kilka dni wakacje.

— Z kim jedziecie?

— Jak to z kim? Sami z kolegą.

— Pierwszy raz jedziesz chyba sam na wakacje — powiedziałam.

— Rzeczywiście — zdziwił się Paweł.

— A matka co?

— Nie wiem, nic nie mówiła.

— Co będziecie robili?

— Właśnie idę kupić kajak i sprzęt rybacki.

— A ta paka to co?

— To wszystkie moje płyty — zaśmiał się Paweł.

— Jak to?

— Cały jazz.
— Dokąd to niesiesz?
— Na sprzedaż.
— Dlaczego to sprzedajesz? Czy stało się coś?
— Nie. Xnudziły mi się.
— Znudziły ci się?
— Znudziły mi się. Już od miesiący i tak ich nie gram.
— Coś podobnego.
— Wolę sobie za te pieniądze kupić kajak, pani rozumie.
— Rozumiem, rozumiem.
— No to my już pójdziemy.
— A adapter też sprzedajesz?
— Nie, może na jesieni kupię sobie trochę poważnej muzyki:

Zachwiałam się.

— Chyba nie Mozarta?
— Dlaczego nie.
— Żebyś ty mógł usłyszeć, coś ty kiedyś mówił o Mozarcie.
— Nie pamiętam — powiedział Paweł. .
— No tak, no tak — powiedziała i oparłam się o ścianę. — A kto ci to kupi?
— Mało jest frajerów? — odezwał się Koluszkiewicz grubym głosem.

— No — dodał Paweł.

— Dużo tego masz?

— Sporo. Właściwie wszystkie style. Bo widzi pani, ja nigdy niczego nie sprzedawałem. Mam tam i big bit i kul i trzeci nurt, Elvisa i Majdaniec.

— To majątek — odezwałam się słabym głosem.

— No — stwierdził Paweł. — Ojciec wciąż na mnie wrzeszczał o te płyty, a teraz ja jeden mam W domu oszczędności.

— Rzeczywiście.

— Może kupię ojcu nową teczkę, bo mu się okropnie przetłuściła od tych śniadań.

— To bardzo ładnie z twojej strony — pochwaliłam.

— A matce co? — zastanowił się.

— Zafundowałbyś jej dziesięć dni pobytu w Krynicy — zaproponowałam szybko.

— A starczy mi?

— Zobaczysz.

— Dobrze, chętnie — powiedział — zorientuję się, jak zainkasuję.

Pożegnali się z podaniem rąk.

Wróciłam do siebie i przysiadłam na zydelku.

Posiedziałam sobie trochę i pomyślałam sobie o różnych rzeczach.

Zadzwoił telefon.

Ojciec Anuli. Żeby poszła do apteki zagranicznej, jak wróci ze szkoły, i zobaczyła, czy nie ma tam dla matki cebulizyny Ciby.

— No i jak z tymi wakacjami Anuli? — spytałam bez większego zainteresowania, bo mi wciąż jeszcze ten Paweł chodził po głowie.

— Powiedziała, że pojedzie z matką do Nałęczowa.

— Na litość boską, przecież ona się tam zanudzi — zawołałam.

— Powiedziała, że nie może matki puścić samej po takiej długiej chorobie — powiedział ojciec Anuli i westchnął. — Takie dziecko to skarb.

— Jakie znowu dziecko? — mruknęłam pod nosem.

— Co mówisz? — spytał ojciec Anuli.

— Nic, nic — zawołałam. — Ale, słuchaj, ty jesteś mężczyzna, to się dobrze składa.

— Oczywiście — powiedział ojciec Anuli — ale w jakiej sprawie?

— Ja chciałam się zapytać, kiedy starsze panie przestały ci mówić per ty, a zaczęły ci mówić per pan.

Zaległa cisza.

— No co, usłyszałeś, co powiedziałam?

— Usłyszałem, usłyszałem, ale myślę.

— No i co?

— Jeszcze myślę.

— Dobrze — powiedziałam. — To zadzwoń, jak sobie przypominisz. Przecież to nie takie trudne.

— Na pewno zadzwonię — przyrzekł zamyślonym głosem.
Znowu przysiadłam na zydelku.

Minęło trochę czasu i wrócił mąż. Spojrzał na mnie z góry, bo wciąż siedziałam na tym zydelku.

— Co ci jest? — zainteresował się z miejsca.

— Nic. Myślę.

— O czym?

— O tym, żeby sobie przypomnieć, kiedy starsi panowie przestali mi mówić ty, a zaczęli mówić per pani.

— Rzeczywiście? — zdziwił się, ale nie bardzo. Jesteśmy już tyle lat po ślubie.

— I nie mogę sobie przypomnieć.

— No wiesz, to chyba nie jest takie trudne.

— A ty pamiętasz?

— Zaraz, zaraz — powiedział, ale poszedł tymczasem zmienić buty na kapcie.

Długo go nie było.

Wstałam z trudem i podeszłam do drzwi łazienki. On myśli tam.

— No i co? — zawołałam. — Przypomniałeś sobie?

— Skąd! — odpowiedział zły. — W ogóle nie zastanawiam się nad takimi bzdurami.

— Masz rację — powiedziałam. — Ale wyjdź już, otworzymy sobie tę butelkę koniaku, co ją trzymamy w szafie od Bożego Narodzenia.

— Oszalałaś! — krzyknął, ale zaraz wyszedł. — A to niby jaka okazja?

— E, żadna — powiedziałam — ale co mamy czekać, aż się zestarzejemy i zupełnie stracimy pamięć.

CENA ZŁ 12.-

CZYTELNIK

W takim samym wydaniu
ukazały się:

S. S. Van Dine

MORDERSTWO MARGARET ODELL

Joanna Chmielewska

KLIN

Jaroslava Blažková

NYLONOWY KSIĘŻYC

